EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 lutego 1937 r. Rok IV, Nr. 3 (82)

Treść numeru:

ZAMIAST WŁADZY NAD ŚWIATEM...

Przed paru tygodniami wydarzył się nad brzegami Lemanu incydent, który dobrze ilustruje, jak systematycznie i jakimi środkami międzynarodówka reakcji niszczy podstawy swobodnego życia kulturalnego. Panoszy się ona nie tylko w tych krajach, w których dzierży bezpośrednio na dłużej lub na krócej władzę, ale usiłuje narzucić swoją wolę wszędzie, a w szczególności tam, gdzie terorem zdoła osłabić siłę oporu. Nawet w Szwajcarii, klasycznym kraju wolności, ktory jako rzeczywiście neutralny, stał się siedzibą Ligi Narodów, teror taki może okazać się skuteczny. Władze szwajcarskie, naprzód kantonu Genewy, a później centralne, pozbawiły prawa pobytu w Szwajcarii dziennikarza włoskiego Carlo A. Prato współredaktora gazety „Journal des Nations", wydawanej w Genewie i występującej zawsze śmiało i odważnie w obronie tekstu i ducha paktu Ligi. Nie podobało się to w szczególności rządowi faszystowskiemu, który od dłuższego czasu a teraz w okresie dwuprzymierza z Niemcami hitlerowskimi szczególniej zaciekle zapowiada likwidację instytucji genewskiej. Od wielu lat dyplomacja Mussolini'ego patrzyła krzywym okiem na pobyt w Genewie niezależnego dziennikarza włoskiego, szanowanego i cenionego przez wszystkich. Czyniono próby presji na rząd szwajcarski, aby pozbyć się tego niewygodnego świadka z Genewy. Napróżno. Rząd szwajcarski udzielał stale prawa azylu uchodźcy dobrowolnemu z Włoch. Carlo A. Prato jest Włochem z ziem, które znajdowały się dawniej pod jarzmem austriackim, wychowańcem bohatera narodowego Italii Cesare Battisti. Gdy rozpoczęła się wojna, Prato opuścił szeregi austriackie, do których go zmobilizowano i pod przybranym nazwiskiem Parini wstąpił do armii włoskiej. Walczył jako lotnik w szeregach włoskich, dokonywując cudów bohaterstwa.

Był i pozostał socjalistą, w swoim czasie bliskim współpracownikiem Mussolini'ego w gazecie „Avanti". Po wojnie pracował w dyplomacji włoskiej; hr. Sforza powołał go na szefa gabinetu ministra spraw zagranicznych i wziął ze sobą do Paryża, gdy objął tam ambasadę. Nadszedł przewrót faszystowski. Prato zaproponowano podwojenie gaży, byle pozostał w ambasadzie, którą hr. Sforza opuścił. Prato odmówił i przeniósł się do Swajcarii jako dobrowolny wygnaniec. Odtąd faszystowski Rzym rozpoczął z nim walkę. Doszła ona do punktu kulminacyjnego, kiedy nie zastraszone jeszcze władze szwajcarskie

wydaliły w swoim czasie grono dziennikarzy faszystowskich za nieprzyzwoitą awanturę na sali obrad Ligi Narodów. Pan Ciucci i inni poprzysięgli zemstę. Jak wiadomo niezadługo po wydaleniu wrócili do Szwajcarii, rząd Helwecji jeden z pierwszych uznał de facto cesarstwo włoskie w Abisynii i oto przyszedł czas porachunku na tle nowej awantury wszechświatowej. Carlo A. Prato otrzymał od delegata Hiszpanii dla gazety „Journal des Nations" 10.000 fr. i sumę tę doręczył wydawnictwu. Pokwitowanie wydane przez Prato zostało wykradzione przez jakiegoś urzędnika zdrajcę i dostarczone faszystom włoskim. Wszczęto naprzód ohydną kampanię o „rzekomej" sprzedajności Prato, a gdy rzecz została wyjaśniona i gdy właściwy sąd dziennikarzy przy Lidze Narodów orzekł, iż nie ma żadnej plamy na dobrym imieniu red. Prato, wówczas rozpoczęła się presja na władze szwajcarskie, by wydaliły go, ponieważ „szkodzi dobrym i normalnym stosunkom z niektórymi państwami". Reakcyjne władze kantonu genewskiego uległy, rząd centralny decyzję zatwierdził, a nawet w ostatnich dniach wystraszony potęgą Göringa i Mussolini'ego rekurs red. Prato odrzucił. W ten sposób dzielny syn Italii, jeden z jej bohaterów, który ongiś wieńczył wieńcem zrzuconym z samolotu mogiłę straconego przez zbirów austriackich w Trydencie, Battisti, niezłomny obrońca wolności Włoch, został wygnany z wolnej ziemi Helwetów, odpędzony od warsztatu swojej stałej pracy i znalazł schronienie na ziemi francuskiej. Jak Stalin — Trockiego, tak Mussolini prześladuje poza granicami swego państwa Carlo A. Prato. W Meksyku i we Francji szukają azylu ludzie ścigani przez władców, usiłujących zaprowadzić swoją dyktaturę na całym świecie.

Najmita i pionek bloku włosko-niemieckiego gen. Franco pyszni się i reklamuje tym, że „zerwał raz na zawsze z hasłami wolności, równości i braterstwa", które stanowią według niego przeżytek. Na cenne to wyznanie odpowiedź znajdujemy we wzniosłej deklaracji głowy, walczącej w imię tych haseł, Hiszpanii ludowej, prezydenta Azana:

„To nie wojna domowa, którą toczymy, to wojna o niepodległość Hiszpanii. Jesteśmy napadnięci za to, że jesteśmy republiką. Ustrój Hiszpanii będzie taki, jakiego będzie chciał lud hiszpański... Nasze zwycięstwo będzie tryumfem prawa ludu, tryumfem wartości moralnych, przed którymi chylimy czoło".

Na łamach pewnej części naszej prasy piękny apel prezydenta Azana, w którym dał on wyraz także i swoim osobistym cierpieniom moralnym z powodu walki z częścią rodaków, wysługujących się obcym, został tak samo przywitany jak incydent redaktora Prato i jak tragiczne zakończenie życia Miguela Unamuno. Kiedy ten pisarz i filozof iberyjski, który całe życie walczył, przez jakieś dziwne nieporozumienie, płynące z ambicji literata-oryginała, czy innych, znalazł się w obozie buntowników, nazwisko jego odmieniano w prasie tak zwanej narodowej przez wszystkie przypadki, sławiono go i wynoszono. Natomiast gdy spadła łuska z oczu starca, gdy powiedział, że „skoro rebelianci zatryumfują, Hiszpania, chory kraj, stanie się krajem głupców", gdy z bólem serca wskazywał na hitlerowców wałęsających się po Salamance z niemieckimi pieśniami wojennymi na ustach, gdy stwierdził, że żyje w piekle, z którego nie wydostanie się żywy, gdy wystąpił przeciw ponuremu twórcy legii cudzoziemskiej gen. Milanowi Astray'owi w obronie Katalonii i kraju Basków, wówczas niedawni chwalcy Unamuna nabrali wody do ust i ledwo, że donieśli o nagłym zgonie byłego rektora wszechnicy w Salamance.

Tym samym milczeniem pokryli odezwę katolickich działaczy hiszpańskich do katolików całego świata w obronie Hiszpanii ludowej, a przeciw inwazji jasnowłosych i czarnowłosych Maurów. „Wobec Boga i historii podnosimy swój głos aby w obliczu wszystkich mocarstw świata napiętnować zbrodnię" — piszą pp. Ossorio y Gallarda — ambasador w Brukseli, przywódca katolików republikańskich, ks. Leokadio Lobo — wikary kościoła San Gines w Madrycie, prof. Garcia Gallego, kanonik katedry w Segowii, Jose Rocaful — kanonik katedry w Granadzie, Jose Bergamin, redaktor naczelny czasopisma katolickiego w Madrycie „Cruz y Rayo" i inni, których nazwisk już nie powtarzamy. Ale obowiązek podania tej odezwy z pism, reklamujących się swym światopoglądem katolickim, spełniły tylko dwa pisma „Polonia" katowicka i „Kurier Warszawski", który za nią prawdę o stanowisku katolików hiszpańskich powtórzył.

Zarejestrujemy choćby w krótkości, ile takich złośliwych kłamstw i bezwstydnych przemilczeń prawdy wydarzyło się w ostatnich czasach w skali międzynarodowej.

Z ministerstwa Göbbelsa krąży po świecie twierdzenie o „sowietyzacji" armii czechosłowackiej, o jakichś oddziałach lotniczych sowieckich, biwakujących na lotniskach Czechosłowacji. Rząd W. Brytanii urzędowo stwierdza, że jest to kłamstwo, rząd czechosłowacki zaprasza wszystkich attachés wojskowych do swobodnego zwiedzenia wszystkich lotnisk w Czechosłowacji. Attaché III-ej Rzeszy Niemieckiej oczywiście uchyla się od takiej wizytacji. Prasa niemiecka, a za nią i inne „pokorne służki" powtarzają tę bzdurę. Usiłująca dokuczyć rządowi Frontu Ludowego we Francji szmata „L'Action Française" puszcza w obieg wierutną bujdę o sowietyzacji ziem francuskich, graniczących z Katalonią, wedle tej głupiej plotki w Perpignan rządzi już „Sowiet". Prasa niemiecka jak na komendę powtarza to łgarstwo, które przez parę dni jeszcze tłucze się po pismach polskich, załamujących ręce nad nieszczęsną „skomunizowaną, zażydzoną Francją".

A sprawa opanowania Maroka hiszpańskiego przez Niemców? Czy znane są opinii publicznej polskiej obszerne relacje londyńskich „Times" i paryskiego „Temps"? Na lotnisko w Melilli nie dopuszczono przedstawicieli francuskich i brytyjskich władz wojskowych, gdyż lotnisko to jest główną bazą wojsk niemieckich w Maroko hiszpańskim, na całym tym terytorium Niemcy są zupełnie wyraźnie zadomowieni. Zapewnienia niemieckie i włoskie, że żadne z tych państw nie ma żadnych zaborczych zamiarów przyjęto jako „środek uspokajający nerwy" w Londynie i Paryżu. Ale temu kłamstwu już nikt nie wierzy, jest ono zbyt oczywiste. Nic też dziwnego, że Londyn zaczyna reagować silniej na niektóre występy Hitlera i Mussolini'ego. Eden w odpowiedzi na wynurzenia Mussoliniego o tym, że demokracja to złośliwy bakcyl, rodzący komunizm i że proklamowanie ustroju sowieckiego w jakiejkolwiek części

Hiszpanii musi pociągnąć za sobą interwencję, powiedział twardo pod adresem pałacu Weneckiego: demokracja — to odtrutka na komunizm, a Hiszpania, czy jej części będą się tak urządzać, jak im się podoba, innym do tego wara. Twierdzenie Mussoliniego, że angielsko-włoski układ śródziemnomorski wspiera „oś Rzym — Berlin" min. Eden odrzucił, oświadczając, że nic o takim znaczeniu nie wie.

Również i Berlin otrzymał z Londynu nauczkę i to dwukrotnie. Raz, gdy min. Eden oświadczył, że „my Anglicy stanowczo wolimy masło, niż armaty", a po raz drugi, gdy zapytał, „dokąd zaprowadzą Niemcy wyznawane przez ich rząd doktryny, czy do normalnych stosunków i współpracy ze światem, czy do zaostrzenia antagonizmów i odosobnienia gospodarczego?". Dla kraju, którego ludność ma szukać kotletów w skrzynce do śmieci, zgodnie z nowym hasłem Göbbelsa,uwagi Edena brzmią jak ostatnie ostrzeżenie. Należy sądzić, że blaga rzekomego pacyfizmu i rokowań, której balony próbne od pewnego czasu wychodzą z urzędów III-ej Rzeszy dla zyskiwania na czasie dla awantury, szybko rozwieją się. Właściwie położył jej kres całkowicie premier Blum w przemówieniu liońskim, występując przeciw dwustronnym umowom, za niepodzielnością pokoju i zbiorowym systemem bezpieczeństwa. W bardzo małym stopniu realistami są ci, którzy wierzą w nadchodzące rokowania świata pokoju i demokracji ze światem wojny i gwałtu. Jedna z potęg do ostatniego zespołu należąca — Japonia — dotarła właśnie w tych dniach do logicznych konsekwencji swego stanowiska: dojrzał wielki zatarg wewnętrzny, rząd militarystyczny rozpoczął walkę z parlamentem, przypomniały się wydarzenia z czasów caratu w Rosji. Wiemy jak to się kończy. III-a Rzesza i faszystowska Italia pójdą śladami swego sojusznika z Dalekiego Wschodu do... wielkich zatargów wewnętrznych.

PO KONGRESIE STRONNICTWA LUDOWEGO

Odbyty w dniu 17.I. b. r. Kongres Stronnictwa Ludowego nazwany przez uczestników „sejmem chłopskim" wykazał przede wszystkim całkowitą samodzielność ideową Stronnictwa Ludowego, jego własny odrębny kierunek społeczno-polityczny, własną niezależną myśl przewodnią. Mocne i zdecydowane usamodzielnienie się ruchu chłopskiego przekreśliło rachuby wielu, rozerwało pajęczyny misternych kombinacyj politycznych, wykazało całą beznadziejność obstawiania zbankrutowanych figur politycznych z dawnych partyj chłopskich. I to jest pierwszy rezultat Kongresu S. L., rzecz niezwykłej wagi, której następstwem musi być spieszna rewizja taktyki poszczególnych ugrupowań politycznych, oraz rewizja celów, jakie dotychczas były przez nie uważane za osiągalne.

Przede wszystkim upada całkowicie koncepcja: „faszyzm czy komunizm". Jak bowiem będzie można realizować w Polsce jeden czy drugi kierunek, gdy ⅔ masy społecznej nietylko ani jednego ani drugiego rozwiązania nie przyjmuje, ale co więcej — z całkowitą świadomością i siłą wysuwają własną, demokratyczną koncepcję ustrojową. Każdy z dwóch wyżej wymienionych kierunków, aby osiągnąć przewagę, będzie musiał nietylko zwalczyć przeciwnika, ale nadto opanować czy choćby tylko zjednać sobie ogromną, dziś już samodzielną, masę chłopską. Czyż zatem komukolwiek może się jeszcze wydawać możliwą do zrealizowania jedna ze skrajnych koncepcyj? Tak więc Kongres S. L., wypowiadając się bezapelacyjnie za „demokracją", przekreślił rachuby tych, którzy uważali za rzecz realną sięgać po władzę innymi sposobami, aniżeli dopuszcza do tego idea i formy demokracji.

Następnym ważnym zagadnieniem jest sprawa budowy nowej Polski, nowego ustroju społeczno-gospodarczego i politycznego. Kongres nic nowego nie przyniósł prócz stwierdzenia, iż uchwalony poprzednio w grudniu 1935 r. program zasadniczy jest nadal i w całej pełni obowiązujący, że ten ustrój, do którego dąży masa chłopska może być tylko i wyłącznie „Polską Ludową" — Polską pracy. Jaką treść przedstawia idea „Polski Ludowej"? Na to pytanie daje odpowiedź z całą wyrazistością samo życie Polski, wewnętrzny układ społeczno-gospodarczy rzeszy chłopskiej: 20 milionów hektarów ziemi użytkowanej na 4 miliony gospodarstw chłopskich! W jakikolwiek sposób ustalić w poszczególnych kategoriach gospodarstw stosunek ilości morgów warsztatów pracy rolnej do masy rodzin chłopskich, zawsze skutek będzie jeden i tylko taki: nieubłagana konieczność wielkich i głębokich reform społeczno-gospodarczych. I tak też brzmią odpowiednie rezolucje Kongresu S. L.:

„w skład wielkiego planu przebudowy struktury społeczno-gospodarczej wejdą głębokie reformy społeczne z reformą rolną na czele, niezbędne dla przyszłego rozwoju kraju i dla zatarcia wielowiekowej niesprawiedliwości społecznej. Ten, ktoby chciał utrzymać w Polsce dotychczasowe przywileje jednych, które w skutkach swych są nędzą i krzywdą drugich, narażałby kraj na nieobliczalne wstrząsy, groźne dla naszej państwowości".

***

Kongres S. L., zapełniony delegatami rzeszy chłopskiej z całej Polski, otworzył prezes Stanisław Thugutt. Na salę wnoszą przeszło trzydzieści zielonych sztandarów organizacyj terenowych. Kilkupowiatowy ośrodek nowosielecki ofiarował władzom naczelnym Stronnictwa sztandar. Wręczył go obywatel Słysz, ten sam, który Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi wypowiedział w roku zeszłym postulaty rzeszy chłopskiej.

Następnie sprawozdanie prezesa Naczelnego Komitetu Wykonawczego S. L. — p. Macieja Rataja. W imieniu władz S. L. przedstawia mówca przebieg zdarzeń w minionym okresie rocznym. Nowosielce, Krzeszowice, Wierzchosławice, Zamojszczyzna... Tak krótki okres czasu, a tyle brzemiennych dla przyszłości dni, zawodów i rozczarowań. Stwierdza mówca, iż władze Stronnictwa chcą utrzymać z całą mocą pochód rzeszy chłopskiej w ramach legalności; wskazuje jednocześnie na te przyczyny, które ruchowi ludowemu grożą zepchnięciem z tej drogi. Wyraża o to głęboką troskę i niepokój.

Kongres dobitnie i zdecydowanie oświadczył i postanowił, że niema celu powtarzać czego żąda — natomiast stwierdził, iż nadszedł czas, aby zdecydować „jak i kiedy" zrealizować ideę, dążenia i wolę ruchu ludowego. W tych dwóch słowach „jak i kiedy" — ujawnia się w całej pełni i wyrazistości rezultat Kongresu S. L., fakt niezaprzeczalny, iż ruch ludowy nietylko nie zatrzymuje się w miejscu, ale przeciwnie przyspiesza i wzmacnia tempo rozwoju.

Kongres Stronnictwa Ludowego stał się punktem zwrotnym dla okresu, jaki przeżywamy od lat dziesięciu. Gdy żadna siła nie zdoła już osłabić nurtu społecznego, jakim jest ruch ludowy, gdy masa chłopska stanęła oko w oko, z niezłomnym zamiarem osiągnięcia swych żądań — nie może już być wahania ani zwlekania „jak i kiedy" zadośćuczynić nakazom sprawiedliwości społecznej.

Pozytywnego i natychmiastowego podjęcia zmian w całym naszym życiu społeczno-gospodarczym i politycznym zażądał Kongres Stronnictwa Ludowego. Niemniej dziś już rozumiemy chyba wszyscy, że tego żąda przede wszystkim polska racja stanu. *Grz. H.*

Z DNIA NA DZIEŃ

GRA TYRAŃSKIEJ DYKTATURY.

Przed trybunałem sowieckim toczy się nowy wielki proces grupy „trockistowskiej" pod nazwą „Równoległe Centrum". Na ławie oskarżonych zasiedli działacze tej miary, co Piatakow, Radek, Sokolnikow, Sierebrakow. Oskarżeni są o zbrodnie nie byle jakie: tworzenie grup dywersyjnych, uprawianie teroru i sabotażu, a nawet o szpiegostwo na rzecz państw faszystowskich.

Nie dość na tym. W związku z zeznaniami podsądnych, którzy przyznali się do winy aresztowani nadto zostali: Rykow, b. przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, Bucharin b. redaktor naczelny „Izwiestij" i Rakowskij, b. ambasador sowiecki w Paryżu.

Wszyscy ci bliscy współpracownicy Lenina, należący do t. zw. starej gwardii bolszewickiej, jeszcze do niedawna zajmowali czołowe stanowiska w hierarchii władzy sowieckiej. Z tej całej grupy przywódców rewolucji pozostał już tylko „światlejszyj" Stalin, który od swego stołu w Kremlu wysyła na śmierć upatrzone ofiary.

Zawcześnie mówić jeszcze o samej istocie procesu moskiewskiego i o jego kulisach, rozstawionych w G. P. U. Ta jaskinia przemocy i poniewierania człowieka przez tresowanych oprawców, mających swoje prototypy wśród opryczników moskiewskich tyranów — niczego więcej prócz odrazy budzić nie może. Proces więc oparty na zeznaniach niewątpliwie wymuszonych przez G. P. U. nie budzi zaufania wśród ludzi, którzy nie utracili poczucia prawa i człowieczeństwa. Nowy ponury akt tragedii moskiewskiej, odsłaniający przed światem niewiarogodne zbrodnie podsądnych, nie odsłania jednak prawdziwych motywów istotnych reżyserów procesu. Raczej wszystko to uważać można za preludia do jakiejś tajemniczej wielkiej gry tyrańskiej dyktatury.

WĄTPLIWOŚCI P. SENATORA.

Podczas rozpatrywania budżetu ministerstwa sprawiedliwości na komisji senackiej powiedział p. senator Evert:

„Przestępczość szerzy się w zastraszający sposób. Osobiście przychylam się do opinii, że Polska jest chora moralnie. Nie wiadomo, czy budować więzienia, czy budować szkoły".

Szkoły, szkoły, panie senatorze!

OPTYMIZM P. SENATORA.

P. senator Rostworowski uważa, że obecnej ordynacji wyborczej zmieniać nie należy:

„Ordynacja — powiada — była traktowana jako pewien eksperyment polityczny. Odejście od poprzedniej praktyki było konieczne i trzeba było znaleźć inne formy przedstawicielstwa narodowego. Nie twierdzę, że ta ordynacja nie ma żadnych usterek, że daje parlament idealny w dzisiejszych warunkach. Ale twierdzę, jednak, że nawrót do dawnych stosunków jest niemożliwy. Tu się rozchodzę z sen. Radziwiłłem. To jest dowodem tego, co się nazywa dekompozycją: starzy przyjaciele polityczni się rozchodzą, więc nastaje chwila do stworzenia czegoś nowego. Uważam, iż jest pójściem za daleko mówić po jednej sesji, że ta ordynacja zbankrutowała, że Parlament obecny nie przedstawia żadnych możliwości pracy, walorów intelektualnych i moralnych. Uważam, że nasze Izby w tej absolutnej nirwanie organizacyjnej, jaka jest, są pewnym ośrodkiem krystalizacyjnym i mogą rolę pewną odegrać. Dla tego z optymizmem patrzę na naszą pracę przyszłą i nie mogę odsądzić tych Izb od tego, iż mogą wykonać swą rolę wyznaczoną im przez Konstytucję ku zadowoleniu społeczeństwa i ku pożytkowi Państwa".

Jest to, rzeczywiście, optymizm i to wybujały. P. senator Rostworowski ma nadzieję, że na następnej sesji jego koledzy z senatu poprawią się, nabiorą więcej temperamentu, nawiążą silniejszy kontakt ze społeczeństwem, ożywią swój zmysł polityczny, wzbogacą swoje walory intelektualne.

Panie senatorze! W tym wieku?!

ROZSĄDNE SŁOWA P. SENATORA.

P. senator J. Radziwiłł uważa, że trzeba zmienić ordynację wyborczą i dopuścić do przedstawicielstwa szersze masy ludu. Zauważył przytem w odpowiedzi sen. Lechnickiemu:

„Przez okno mogą przemawiać do społeczeństwa ludzie, którzy liczą na poparcie wśród szerokich mas. Jeżeli ktoś liczy na poparcie mas, proponując zmianę ordynacji, to czyni to we własnym interesie. Jeżeli ja to robię, to wbrew swojemu interesowi, bo chyba nie posądzi mnie Pan Kolega o taką naiwność, żebym przypuszczał, że tłumy ludu pracującego na swych barkach wniosą mnie do nowego parlamentu".

Trzeba przyznać, że to słowa rozsądne. Tak, tego nie można sobie wyobrazić.

LEPIEJ PÓŹNO, NIŻ NIGDY.

Dość późno zdecydował się p. minister oświaty, prof. Świętosławski, na wyraźniejsze oświadczenie w sprawie rozruchów antysemickich na wyższych uczelniach.

„Rozpolitykowana część młodzieży — mówił p. minister w komisji sejmowej — stoi na stanowisku, że powinna wszelkimi sposobami, a więc także za pomocą gwałtu, bicia używania dymnych świec, broni, urządzania blokad w domach akademickich, lub w samych uczelniach prowadzić akcję, skierowaną przeciwko Żydom. Należy stwierdzić, że to zachowanie się młodzieży znajduje niestety poparcie części starszego społeczeństwa.

Młodzież występuje wciąż z żądaniami, aby władze akademickie wydały zarządzenie, przeznaczające z góry oddzielne miejsca dla Żydów i dla chrze-

ścijan. Wydanie takiego zarządzenia uważam za niemożliwe.

Nie ulega też wątpliwości, że tym, co kierują ruchem tej części młodzieży, wcale nie chodzi o oddzielne ławki, nikt bowiem nie mógłby uwierzyć, że dla tak błahego powodu godzono by się na zaprzepaszczenie trymestru 50 tysiącom młodzieży.

Muszę z przykrością stwierdzić, że ani ta młodzież, o której tutaj mowa, ani sympatyzująca z nią część starszego społeczeństwa, nie zdają sobie sprawy, że przeżywana przez cały świat chwila dziejowa jest tak poważna, że wymaga jak najdalej posuniętego skupienia wszystkich szczerych patriotów i prawych obywateli Rzeczypospolitej. Szerzenie w tym czasie zamętu, zaprawianie młodzieży do anarchii jest psychicznym rozbrajaniem Polski. Nie mogę uwierzyć, aby ktokolwiek z nas tego sobie życzył. Jest więc głęboki tragizm w tym skrajnym zaślepieniu menerów ruchu antysemickiego, którzy nie widzą, jaką przysługę oddają tym elementom wywrotowym, dla których zamęt w Polsce jest rzeczą najbardziej pożądaną".

Mamy nadzieję, że te słuszne słowa p. ministra oświaty będą obowiązujące, czyli, że słusznym słowom będą towarzyszyły słuszne czyny, które dowiodą rozbestwionej części młodzieży, że nie może liczyć na bezkarność. Dotychczas jeszcze widać, że chce na tę bezkarność liczyć, domagając się, naprzykład, w licznych rezolucjach „niezwłocznego zwolnienia aresztowanych kolegów" i „umorzenia dochodzeń dyscyplinarnych przeciw biorącym udział w blokadzie". Żadnych represji! — oto hasło zanarchizowanej zgrai, która w swoich niesłychanych ulotkach pisze już całkiem otwarcie: „Nie nauka jest naszym celem, ale służba narodowa". Jaka to służba? Czytamy w jednej z tych ulotek: „Chcemy nadwyrężyć zęby Żydom. Dopóki ostatniego Żyda nie wyrzucimy, będziemy ich poprostu bić".

Bezkarności dla tej barbarji domaga się *Warszawski Dziennik Narodowy*, który doszedł już do takiego oto rozumowania:

„Wśród 348 „zaburzeń" było 161 wypadków wybicia szyb. Cokolwiek się sądzi o tych wybitych szybach, to jednak trudno przeceniać ich wartość w dokonującym się procesie o znaczeniu dziejowym. Nie należy pewnych zjawisk oceniać tylko pod kątem widzenia policyjnym, przecież i ruch samochodowy na ulicach miast wywołuje wypadki, jednak żadnemu z premierów polskich nie przyszło na myśl posyłać z tego powodu do Berezy fabrykantów i sprzedawców samochodów lub wypowiadać walki samemu ruchowi samochodowemu".

Innymi słowy: nie przeceniajmy wartości wybijanych szyb w sklepach żydowskich, nie przeciwdziałajmy biciu Żydów, tak jak nie walczymy z... ruchem samochodowym z powodu nieuniknionych wypadków, przez ten ruch wywoływanych. Ruch samochodowy jest koniecznością i bicie Żydów jest koniecznością!..

Otóż należy się spodziewać, że tej bandyckiej „socjologii" przeciwstawi się siła prawa i praworządności.

„Zaprawianie młodzieży do anarchii jest psychicznym rozbrajaniem Polski" — mówił minister Świętosławski. Tak jest. „Zaczyna się na Żydach, a kończy się na anarchii" — rzekł premier gen. Składkowski. Oczywiście.

Skoro tak mówią szef rządu i minister oświaty, położenie kresu tej anarchii i psychicznemu rozbrajaniu Polski jest kwestią autorytetu rządu.

POZIOM P. MACKIEWICZA.

P. Senator Wojciech Rostworowski napisał parę lat temu całą broszurę o redaktorze „Słowa" p. Mackiewiczu, sławiąc jego dowcip, zmysł polityczny i poziom kulturalny. P. Mackiewicz — jakby się uwziął, żeby dowieść, jak bardzo mylił się p. sen. Rostworowski.

Naprzykład: dążenie do zespolenia żywiołów demokratycznych w Polsce p. Mackiewicz nazywa tworzeniem „Fołksfrontu".

„Byłoby to — pisze — porozumienie — mówiąc obrazowo: „Kurjer Poranny", „Zielony Sztandar", „Robotnik".

„Oto „Fołksfront"... Terminologia p. Mackiewicza jest równie głupawa, jak nikczemnie demagogiczna.

TERTIUM DATUR.

Już przed ogłoszeniem uchwał powziętych na kongresie Stronnictwa Ludowego pisał Jan Rola w „Epoce" (nr. 2/81), że kongres ten mocno odgrodzi się zarówno od faszyzmu, jak od komunizmu. To stanowisko Stronnictwa Ludowego znalazło wyraz w uchwale treści następującej:

„Kongres stwierdza, iż próby podzielenia społeczeństwa na dwa obozy — jeden pod protektoratem faszyzmu, drugi pod protektoratem komunizmu — nie powiodą się, albowiem są w społeczeństwie potężne siły, w pierwszym rzędzie Stronnictwo Ludowe, które stojąc na gruncie demokracji przeciwstawiają się i to w sposób zdecydowany nietylko systemowi sanacyjnemu, ale i faszyzmowi z prawa, oraz komunizmowi z lewa.

Stronnictwo Ludowe, wierząc, iż każda dyktatura jest zgubna dla chłopów i że masy wiejskie tylko w ustroju demokratycznym mogą uzyskać należny im wpływ, odrzuca możność współpracy tak z faszyzmem z prawa, jak i z komunizmem z lewa, czy jakimkolwiek bądź innym ugrupowaniem, dążącym do wprowadzenia dyktatury".

Powzięto również uchwałę o dążeniu „do współdziałania z ugrupowaniami szczerze demokratycznymi".

Tak więc najsilniejsze stronnictwo ludowe w Polsce, reprezentujące dążenia wielomilionowej rzeszy chłopskiej, wyznaje zasady demokracji. *Przez to samo* obala niedorzeczną tezę, że w Polsce zwycięży może tylko jedna z dwóch sił: faszyzm albo komunizm.

W jednym z ostatnich wywiadów dziennikarskich Mussolini skazał ponownie demokrację na zagładę. Z wielką uciechą cytują nasi faszyści opinję Mussoliniego, który uważa, że „demokracja jest wylęgarnią komunizmu". Opinii tej mocno przeciwstawił się minister Eden: w mowie wygłoszonej w Izbie Gmin oświadczył: „Demokracja nie tylko nie jest wylęgarnią komunizmu, jak to powiedział dyktator Włoch, lecz wprost przeciwnie — demokracja jest odtrutką na komunizm".

Zgódźmy się, że słowa ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii mają też niejakie znaczenie...

ICH ROZUMOWANIE.

Na wiecu endeckiej młodzieży akademickiej uchwalono rezolucję, domagającą się m. in. „wprowadzenia ghetta na wyższych uczelniach w Polsce prawnie usankcjonowanego".

Minister oświaty prof, Świętosławski już oświadczył, że żądanie to nie będzie „prawnie usankcjonowane".

Wyznaczanie oddzielnych miejsc dla Żydów ma właśnie na celu utrzymanie „ghetta". Chodzi tu najwyraźniej o poniżenie ludzi, których się uważa za coś niższego. W niektórych salach wykładowych endecy poumieszczali na ławkach kartki z napisem „miejsca dla Żydów" — na żółtym papierze, dając w ten sposób do zrozumienia, że chcą wskrzesić średniowieczne „żółte łaty". Studenci Żydzi nie chcą się dać poniżać. Usuwani gwałtem z miejsc, które zajmowali, nie chcą zająć miejsc „wyznaczonych" i wykładów słuchają stojąc. Wtedy pisze się w świstkach endeckich: „Żydzi prowokacyjnie stoją". Tak samo możnaby napisać o Żydach maltretowanych fizycznie, że „prowokacyjnie" krzyczą, „prowokacyjnie" wołają o pomoc, „prowokacyjnie" się bronią.

B. marszałek Senatu prof. Julian Szymański niedaleko jest od takiego „rozumowania", kiedy pisze, że do zawieszania wykładów doprowadzają sa-

mi Żydzi, trzeba tedy „prawnie ograniczyć ilość Żydów na Uniwersytetach".

Zapewne, gdyby Żydzi bez protestu i szemrania poddawali się wszelkim prześladowaniom, byłby na wyższych uczelniach „spokój".

Ale cóż to za żywioł! Nie chce być poniżany, nie chce ulegać gwałtowi!

Inny znów „mąż stanu" poseł Bakon proponuje, żeby dla Żydów stworzyć „odrębne prawa, przystosowane do psychiki żydowskiej". Na tę „interpelację" posła Bakona p. minister sprawiedliwości słusznie żadnej odpowiedzi nie udzielił. Jedynie sprawozdawca budżetu ministerstwa sprawiedliwości, poseł Sioda, pouczył tego Bakona, że w praworządnym państwie obowiązywać musi jedno prawo dla wszystkich.

KTO CHCE WOJNY?

Antyżydowska mania prześladowcza wywołuje w mózgach endeckich prawdziwą dewastację. W artykule p. t. „Kto chce wojny" wywodzi *Warszawski Dziennik Narodowy*, że ani jedno państwo w Europie nie dąży do wywołania wojny. Nie chcą jej również Niemcy. Nie chcą Sowiety. Więc kto? Oczywiście — Żydzi. Czytamy:

„Nie na podstawie tedy informacyj, lub podejrzeń, lecz na podstawie spokojnego (?!) rozumowania, wychodzącego z przesłanek, wysnutych z oceny interesów ludu żydowskiego, dochodzimy do wniosku, że jeśli ktoś mógłby mieć korzyści z wojny, to tylko Żydzi. Stąd zaś wyprowadzamy wniosek dalszy, że polityka żydowska jest dla pokoju europejskiego niebezpieczna, że natomiast bardzo istotne i poważne interesy nakazują wszystkim ludom europejskim pragnąć zachowania pokoju".

Kto wspomaga ruch pacyfistyczny? Żydzi. Kto dąży do wywołania wojny? Żydzi. Kto opanował kapitał międzynarodowy? Żydzi. Kto walczy z ustrojem kapitalistycznym? Żydzi.

I tak dalej. Biedne mózgi, którym się już wszystko pomieszało w „spokojnym" rozumowaniu...

CZŁOWIEK NIEZŁOMNY.

Głośny pisarz i uczony angielski, prof. Gilbert Murray zamieścił w londyńskim dzienniku „Times" artykuł o Karolu Ossietzky'm.

Z artykułu tego dowiadujemy się, że gen. Goering usiłował w 2-godzinnej rozmowie nakłonić Ossietzky'ego, zarówno obietnicami, jak i pogróżkami — by odrzucił nagrodę Nobla. Jednakże — pisze prof. Murray — „cała ta próba okazała się daremną. Ossietzky bowiem wie dobrze, że zdobył nagrodę pokojową Nobla twardą pracą; wszystkie lata przebytych cierpień nie złamały w tym człowieku jego odwagi".

PO MOWACH MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI

Debata sejmowa przyniosła nam dwa przemówienia ministra sprawiedliwości, p. Witolda Grabowskiego, który zapowiedział zaostrzenie walki ze wzmożoną u nas przestępczością.

W kraju, gdzie rejestruje się setki tysięcy bezrobotnych, gdzie pono 8—9 milionów chłopów nie ma warsztatów produkcyjnej pracy, a 2¼ miliona młodzieży jest gospodarczo „niepotrzebnej", gdzie mamy zgórą 6 milionów analfabetów, nikogo zadziwić nie może liczba 700.000 prawomocnych wyroków rocznie, ani liczba zabójstw — 1404, ciężkich uszkodzeń ciała 15.348 i kradzieży 353726 w roku ubiegłym, ani też liczba 60.000 więźniów w 338 więzieniach obliczonych na 40.000 miejsc.

Siedemkroć stotysięcy wyroków rocznie daje wciągu ostatniego 10-lecia 7 milionów ukaranych przestępstw. Statystyka przestępstw zameldowanych a niewykrytych (której nam w debacie poskąpiono) daje nam conajmniej drugie 7 milionów. Ci zaś, co znają warunki bytowania na wsi, w okolicach podmiejskich, szczególnie w pobliżu baraków bezdomnych, twierdzą, że na jedno zameldowane przestępstwo przypada kilka lub nawet do kilkunastu drobniejszych przestępstw, gdzie poszkodowani nie dochodzą swojej krzywdy na drodze prawa. A więc... śmiało rzec można, że na głowę dorosłego mieszkańca przypada 1—2 przestępstwa. Od wniosku, że cała ludność Polski składa się z przestępców, chroni nas jedynie fakt, że szereg wykroczeń przeciw prawu popełniają ci sami ludzie.

Na tle tego ponurego obrazu naszego życia staje p. Minister Grabowski ze swym niezłomnym zamiarem zwalczenia tak nadmiernie wybujałej przestępczości. A że zwalczenie istotnych przyczyn przestępczości, jak bezrobocie i analfabetyzm nie leży w zakresie władzy P. Ministra, — program jego jest b. skromny. Chce on uczynić więzienia jeszcze bardziej odstraszającymi i równocześnie moralno - wychowawczymi.

Aczkolwiek p. Minister w jednym z poprzednich publicznych przemówień wyprawił uroczysty pogrzeb „deklaracji praw człowieka i obywatela", jednak dotąd jakoś nie przychylił się do inspiracji referenta swego budżetu na komisji, który przebąkiwał o wprowadzeniu kar cielesnych i sterylizacji.

Skromny program p. ministra nasuwa nam niejakie wątpliwości. Czy więzienie, jeszcze „łagodne", nie budzi dość silnego lęku? Statystyka samobójstw mówi nam, że tysiące bezrobotnych wolało śmierć, niż wkroczenie na drogę przestępstw. Nie chcieli zapewnić sobie życia w więzieniu. Statystyka prób ucieczek z więzienia mówi nam również o tym, że ci ludzie woleli ryzykować życie przy minimalnej szansie wydostania się z więzienia. Przejdźmy się po norach, w których gnieżdżą się ludzie bezdomni i pozbawieni pracy. Patrzymy na to życie tak straszne, że mimowoli nasuwa się nam pytanie, dla czego jednak stosunkowo niewielu z tych ludzi wstępuje na drogę, gdzie w najgorszym wypadku znajduje się radykalne rozwiązanie rebusów mieszkaniowych i aprowizacyjnych w postaci miejsca w więzieniu. Strasznym jest życie tych ludzi, ale pozbawienie wolności jest dla nich jeszcze gorsze. Olbrzymia większość ludzi wszystkich stanów, z wyłączeniem jednostek patologicznie niedorozwiniętych, odczuwa wolność jako zaspokojenie instynktu równie integralnego i pierwotnego, w każdym żywym stworzeniu, jak instynkt samozachowawczy. Kara pozbawienia wolności, nawet najhumanitarniej stosowana jest zawsze karą straszną. Dość straszną na to, aby wszelkie jej obostrzenia uznać za bezcelowe. Ludzkość przechodziła długie okresy, gdzie kary za łamanie prawa były okrutne. Torturowano ludzi. Robiono to, niedowierzając ludzkiej imaginacji, publicznie. A jednak większość kryminologów twierdzi, że okrucieństwo kary, chwilowo tylko może zahamować wzrost przestępczości. Po krótkim czasie nerwy zostają przytępione i środek nie działa.

Rozwiązanie zagadnienia przestępczości, a przynajmniej sprowadzenie go do ram, obejmujących wypadki, związane z patologicznym stanem jednostki lub wypadki wykolejenia życiowego na skutek wyjątkowego zbiegu nieprzyjaznych okoliczności, leży na płaszczyźnie szerokich zagadnień ekonomicznych.

Pan Minister chciałby przynajmniej, żeby ci ludzie, zepchnięci przez życie na bezdroża, po odbyciu więziennej kuracji umoralniającej, już więcej na nie nie wracali. P. Minister, zupełnie słusznie jest wielkim przeciwnikiem recydywy. Jeśli się jednak zgodzimy, że pewien kompleks warunków życiowych wprowadził jednostkę, w innych warunkach normalną, w obręb więzienia, musimy stwierdzić, że jednostka ta opuszczając więzienie wchodzi jedynie w wyjątkowych najlepszych wypadkach w ten sam kompleks warunków. Normalnie czekają ją warunki znacznie gorsze od poprzednich, które ją już raz do upadku doprowadziły. Społeczeństwo bowiem nigdy nie zadawala się odbytą karą, którą w jego imieniu, z jego ramienia, wymierzono. Społeczeństwo nie zna odkupienia, zmazania przewiny. Ono karze dalej, za samo to, że ktoś był ukarany. Wszelka możność znalezienia pracy, dostęp do zrzeszeń pracowniczych — wszystko zostaje utrudnione, temu, kto nosi piętno odbycia kary. 83 towarzystwa opieki — na 338 więzień stanowią pozór, że się tę niesprawiedliwość społeczną usiłuje złagodzić. Ogromny odsetek delikwentów — nie znajduje innego wyjścia z problemów życiowych jak wrócić za kratę. Istotna, najszerzej pojęta opieka nad opuszczającym więzienie, może się skutecznie przyczynić do zmniejszenia recydywy. Dodatkowe kary po 5 lat — nie można uznać za środek skuteczny. Każdy rok oderwania od życia zrywa coraz więcej nici, łączących człowieka z życiem — rodzina zżywa się z jego nieobecnością, koledzy, przyjaciele zapominają. Po tylu latach człowiek nie ma prawie do czego wracać. Obcy dla wszystkich, z piętnem hańby, wbrew woli i chęci, w poczuciu nieznośnej samotności, człowiek idzie tam, gdzie ta właśnie hańba jest legitymacją wstępu. Szuka kolegów z więzienia i kończy na nowej recydywie.

Pan Minister, kładąc nacisk na moment odstraszający więzienia, nie wyrzeka się jego roli wychowawczej. I słusznie widzi on w pracy najgłówniejszy czynnik przekształcania i odradzania spaczonych charakterów. Całkiem jednak niesłusznie sądzi Pan Minister, że praca przymusowa i bezpłatna posiada również pierwiastki umoralniające. Skrzętnie zebrane obserwacje prowadzą bowiem do przeciwnych wniosków. Praca jest czynnikiem odbudowy duchowej jeśli daje pracującemu wyniki, odpowiednie do włożonego wysiłku i umiejętności. Jeśli ona choć nieznacznie polepsza jego położenie. Wtedy cała psychika człowieka sama się nastawia na dokonywanie coraz owocniejszego wysiłku. Wytwarza się nałóg dobrej, sumiennej pracy: wyrasta ambicja dobrego pracownika. Pracując jedynie ze strachu przed karą — człowiek nastawia się na to, żeby jaknajmniejszym wysiłkiem — uniknąć kary. Uczy się oszukiwać w pracy, pracować źle; uczy się nienawidzieć pracy! Jakieś zapomogi „na wyjście" nie są dostateczną podnietą do pracy. Przestępcy są przeważnie lekkomyślnymi ryzykantami. Popełniając czyn karalny, myślą „jakoś to będzie" z karą; — o końcu kary też myślą „jakoś to będzie". Wielu wierzy, że po dokonanej ekspiacji — świat, ten wymarzony świat po drugiej stronie kraty, będzie dla nich lepszy. Doniosłe znaczenie ma dla więźnia, natomiast, czy on za swoją pracę będzie miał choć na paczkę machorki, bochenek białego chleba, znaczek pocztowy. Obawiamy się, że po reformach jakie zamierza p. minister Grabowski wprowadzić, kuracjusz więzienny, zbrzydziwszy sobie dokumentnie w ciągu lat wszelką pracę — po opuszczeniu więzienia, nie pomyśli nawet o szukaniu nowej pracy, a zapomogę poprostu przepije. Potem wróci między „swoich" przysięgając sobie, że już teraz urządzi się tak sprytnie, że się więcej nie „wsypie". Chodzi mu już tylko o to, żeby wyprowadzić w pole policję, jak przez lata całe oszukiwał dozorców więziennych.

P. Minister obawia się, że grosze wypłacane więźniom za ich pracę, to uprzywilejowanie ich wobec wolnego robotnika, który musi utrzymać rodzinę. Obawa może przesadna. Chodzi przecież tylko o grosze, nie o zrównanie zarobków więziennych z wynagrodzeniem wolnych ludzi. Chodzi o grosze, mające doniosłe moralne znaczenie w dziele zahamowania powrotu za kraty, ukaranych raz przestępców.

Jeśli się chce więźnia wychowywać, trzeba go postawić w warunki choć pod pewnymi względami lepsze niż te, które go do więzienia doprowadziły. Nie jest winą Ministra Sprawiedliwości, jeśli więzień ma się materialnie lepiej czasami, niż wolny człowiek, lecz jest winą warunków społecznych, że nie mogą podciągnąć jego poziomu — do poziomu nawet więziennego. *W. W.*

PABLO PICASSO

Jakże prostą była droga Pabla Picasso w porównaniu z zygzakami Unamuny!

Ten pięćdziesięciopięcioletni człowiek, który już ćwierć wieku temu został ojcem duchowym współczesnego malarstwa — nigdy nie zajmował się polityką. Jako młodzieniec zamieszkał w Paryżu. Wielu ludzi i wiele spraw związało go ze stolicą sztuki, zdawałoby się, na zawsze. Być twórcą nowego kierunku w plastyce — to wystarcza, aby zostać całkowicie pochłoniętym przez swą dziedzinę.

Pablo Picasso rozpoczął swą twórczość jako malarz ubóstwa, krzywdy i cierpienia. Ulubionym jego tematem był świat jarmarcznych pajaców, arlekinów i kuglarzy. Z jakąś gorzką satysfakcją odtwarzał w swych dziełach postaci „skrzywdzonych i poniżonych" rozweselaczy małomiasteczkowej gawiedzi. Ci właśnie, którzy znajdowali się poza jakimkolwiek szczeblem drabiny społecznej, ci, których tragicznym udziałem było „wystawiać na pośmiewisko tłumu groteskowy mechanizm swych wyłamanych członków" — mieli w genialnym artyście najgorętszego adoratora.

Element literacko-uczuciowy został jednak następnie w twórczości Picassa ograniczony i prawie wyeliminowany na rzecz poszukiwań formalnych. Drugi dziesiątek lat bieżącego stulecia rozpoczął artysta pod znakiem gorączkowego wykuwania nowego stylu. Stworzył kubizm, bez którego współczesne malarstwo nie byłoby tym, czym jest. Odtąd kontynuował prace nad rozwojem nowych form wespół ze

swymi zwolennikami we wszystkich krajach, zwalczany zresztą namiętnie przez międzynarodową reakcję estetyczną.

I oto, będąc u szczytu sławy, Pablo Picasso zostaje wstrząśnięty hiobowymi wieściami z ojczyzny. Rząd ludowy, rząd, który chciał dać ziemię wydziedziczonym, został zagrożony przez spisek posiadaczy. Na ziemię hiszpańską wstąpiło dziesiątki tysięcy marokańskich i włoskich najeźdźców. Od czasu wojny z Napoleonem nie przeżywała ojczyzna Picassa groźniejszej i bardziej decydującej chwili.

Wówczas ten artysta, całkowicie oddany sztuce, rzuca swą pracownię w Paryżu. Wraca do kraju. I szczególnym zbiegiem okoliczności gazety madryckie jednego dnia mogły podać dwie wiadomości. Pierwsza z nich donosiła światu, że największy poeta współczesnej Hiszpanii, Federico Garcia Lorca został zamordowany przez faszystów. Druga stwierdzała, że Pablo Picasso przybył do ojczyzny i ofiarował swe usługi prawowitemu rządowi.

Rząd mianował genialnego artystę dyrektorem departamentu sztuki. Odtąd twórczość Picassa jest ściśle związana z losem ludu hiszpańskiego. Odtąd pokrywają się drogi najsławniejszego Hiszpana z dziejowymi szlakami robotników, chłopów, mieszczan i inteligentów hiszpańskich.

I tu przypomina się inny wielki malarz tego kraju, tak obfitego w talenty malarskie: Goya. Przypominają się jego „Desastres de la guerre", okropności wojny napoleońskiej, odtworzone w cyklu obrazów i sztychów. Stanowiły one głęboki zwrot w twórczości Goyi. Potęgą wyrazu swej wizji batalistycznej sprawił genialny artysta, że dzisiejszy ekspresjonizm widzi w nim jednego ze swych przodków.

Czy okropności toczącej się obecnie w Hiszpanii wojny staną się źródłem natchnienia dla Picassa? Zapewne, skoro się zważy, że już dziś posiadamy szereg utworów sztuki, związanych z tragicznymi zmaganiami na półwyspie pirenejskim.

Powrót do ojczyzny może się stać dla Picassa doniosłym zwrotem w jego twórczości. Utinam verus vates sim...

Droga Pablo Picassa była prosta i bez załamań. Zawsze łączyły go z ludem mocne, serdeczne węzły. W najcięższej chwili potrafił zadokumentować swe uczucia czynem nie tylko artystycznym. Razem z całą elitą duchową Hiszpanii walczy o wolność swego narodu i sprawiedliwość społeczną. Tak musiał postąpić artysta, którego uczuciowość przejmująco odzwierciadlana w obrazach, miała w sobie, jak podkreśla historyk sztuki, coś charakterystycznego dla chrześcijańskich legend średniowiecza.*) Nikt w Hiszpanii nie może powiedzieć, że lepiej od Picassa wie, czym jest miłość bliźniego, litość i miłosierdzie. Te właśnie uczucia kazały mu stanąć po demokratycznej stronie frontu.

Zygmunt Jarosz

*) Wacław Husarski: „Malarstwo nowoczesne", str. 116.

SPRAWA FRANKFURTERA

W połowie grudnia sąd kantonalny w Chur skazał Dawida Frankfurtera na 18 lat więzienia za zabójstwo Wilhelma Gustloffa. Prasa polska przemilczała tę sprawę; z wyjątkiem pism żydowskich podawano tylko króciutkie depesze i notatki. Ale niewątpliwie i w Polsce, jak w całym świecie, wiedzą ludzie, że to Żyd zabił Niemca-hitlerowca, że dokonał aktu politycznego zabójstwa przedstawiciela reżymu, który sponiewierał Żydów. Właśnie dlatego, że prasa polska pokrywała tę sprawę takim milczeniem, milczeniem, przepojonym sugestią niemiecką, warto było zainteresować się przebiegiem procesu, okolicznościami zabójstwa jakie proces ujawnił, oraz sylwetką duchową zabójcy, skreśloną w słowach obrońcy i oskarżyciela. Nietrudno było to zrobić, gdyż prasa zachodnio-europejska udzieliła temu procesowi nie mało uwagi.

W najkrótszych słowach należy odświeżyć w naszej pamięci tę tragedię. Młody człowiek, 27-letni Dawid Frankfurter, Żyd, obywatel jugosłowiański, zabił w dniu 4 lutego 1936 roku w Davos kierownika narodowo-socjalistycznej partii w Szwajcarii. Frankfurter ostatnio mieszkał w Bernie, przed prześladowaniami Żydów w Niemczech — studiował medycynę w uniwersytecie niemieckim. Po zabójstwie Frankfurter zdołał ujść, ale natychmiast po tym sam się oddał w ręce policji. Przed zabójstwem Frankfurter napisał listy pożegnalne do rodziny, w których odzwierciadlił się jego stan duchowy: „Straciłem wiarę w siebie i w ludzkość — pisał — już dłużej nie mogę znosić nieszczęścia narodu żydowskiego, odebrało mi to całą radość życia. Oby Bóg Wszechmogący pomścił naszą krzywdę. Ja sam siebie uważam za narzędzie w ręku Opatrzności".

Przygotowując się na śmierć, ludzie zazwyczaj mówią prawdę, co w tym wypadku potwierdziła nie tylko opinia obrony, ale i oskarżenia: prokurator zadał zdecydowanie kłam wszystkim twierdzeniom hitlerowców o udziale Frankfurtera w jakimś spisku politycznym i oświadczył, że to tylko okropne prześladowania Żydów w Niemczech były motywem, który skłonił Frankfurtera do zabójstwa.

Powołanie się na zgodną opinię obrony i oskarżenia potrzebne jest do wyjaśnienia pobudek i społecznej strony tego zabójstwa. Otóż jest to oczywiście akt zabójstwa politycznego, nie oderwany w dziejach świata i w dziejach ostatniego stulecia; należy on do aktów zabójstw, popełnionych z pobudek nie osobistych. O tej kategorii zabójstw przypomniał obrońca Frankfurtera, Szwajcar, dr. Curti. Z analogicznych pobudek Szalom Szwarzbard zastrzelił w Paryżu Petlurę, którego czynił odpowiedzialnym za żydowskie pogromy na Ukrainie; ormianin Teilerian zabił w Berlinie Talaat Paszę. Dr. Curti wskazywał, że ci ludzie zostali uniewinnieni przez sądy ze względu na pobudki czynu i zakończył swą mowę słowami: „Czyn Frankfurtera nie był zwykłym zabójstwem, należy go więc też odpowiednio potraktować. Panowie sędziowie, człowiek na ławie oskarżonych oczekuje sprawiedliwego wyroku. Stosunki w Rzeszy Niemieckiej popchnęły go do tego czynu". Czy taka końcowa synteza nasunęła się tylko adwokatowi, Szwajcarowi, umiarkowanemu demokracie, Curtiemu? Nie, w dwa dni po zabójstwie w Davos,

tak samo sformułował ją w Londynie biskup z Durkham, który oczywiście potępił zabójstwo i wyraził obawę, że pogorszy ono całokształt sytuacji Żydów, ale powiedział wyraźnie, iż „w rachunku ostatecznym winę za ten czyn ponoszą obecni władcy Niemiec. Oni odpowiadać będą przed historią także za ten akt gwałtu". Gdy więc bezskutecznie usiłowała prasa prohitlerowska sugerować sędziwemu obrońcy — komunizm, jeszcze trudniej podważyć wymowę takich słów u światłego biskupa. Sam zaś prokurator, który żądał kary za zabójstwo uplanowane „popełnione z namysłem", również mówił o okropnych prześladowaniach Żydów w Niemczech jako przyczynie zabójstwa.

Frankfurter zrzekł się ostatniego słowa. Człowiek ten, ciężko chory, sprawiał na korespondentach obecnych na rozprawie wrażenie, że potrafił już pożegnać się z własnym życiem, doszczętnie zatrutym przez wizje okropności, jakie przeżywać musieli jego współrodacy w Rzeszy. Dr. Curti prosił o uniewinnienie Frankfurtera. Prokurator domagał się kary. Cała opinia publiczna w Szwajcarii, sądząc z wypowiedzi w prasie, odnosiła się sprawiedliwie do Frankfurtera. Pogróżki prasy hitlerowskiej, istna nagonka na Szwajcarię, jej sądownictwo, jej prasę, jej rząd (który rozwiązał komórki narodowo-socjalistyczne w Szwajcarii) wywoływała w społeczeństwie szwajcarskim zgodny odruch najgłębszego oburzenia. Zdemaskowane przez władze śledcze i przypieczętowane w mowie prokuratora próby montażu legendy o „spisku", próby wciągnięcia imion obywateli szwajcarskich do sprawy tego zabójstwa (i to jaką drogą! fałszowania listów i podpisów!) — napotkały w społeczeństwie szwajcarskim solidarny opór, obrzydzenie i gniew.

A tymczasem — Frankfurtera skazano i skazano bardzo ciężko — na 18 lat, nie mówiąc już o pozbawieniu wszystkich praw, wysiedleniu ze Szwajcarii po odbyciu kary i t. p. rzeczach teoretycznych, gdyż chory człowiek nie poradzi tym latom więzienia. Dlaczego tak ciężko skazano tego młodego Żyda, gdy uniewinniony był Ormianin, gdy uniewinniony został również Żyd, ale zabójca Ukraińca, Petlury? Jaka tu może być odpowiedź, gdy chodzi o odpowiedź uczciwą?

Tylko jedna: skazano go tak, bo zabił Niemca hitlerowskiego reżymu, hitlerowca, komórkę Rzeszy.

Niezmiernie pouczającym jest dla nas badanie całego *systemu wpływów i nacisków* reżymu Trzeciej Rzeszy w stosunkach międzynarodowych. Otóż prasa zachodnio-europejska — bez różnicy krajów — nie krępowała się bynajmniej w wykrywaniu machinacyj stosowanych przed procesem i w czasie procesu przez rząd niemiecki, lub też jego zakonspirowane komórki. W początku, po zakończeniu śledztwa, a przed wyznaczeniem rozprawy, dawano do zrozumienia władzom szwajcarskim, że na terminie rozprawy, na przyśpieszaniu terminu, rządowi Rzeszy nie zależy. Postanowiono w miarę możności eliminować motywy ogólno-polityczne z rozprawy, ograniczać liczbę i zasięg zeznań świadków, ale rozprawa musiała się oczywiście odbyć. Trzeba tu wspomnieć, że po zabójstwie Gustloffa prasa hitlerowska w Niemczech zaatakowała gwałtownie władze szwajcarskie, tym bardziej, że rada związkowa szwajcarska miała dość powodów do rozwiązania w dniu 18 lutego wszystkich nazistycznych „Gauleitungen" na terenie Szwajcarii. Rzesza odpowiedziała na to zakazem działalności wszelkich (apolitycznych) związków szwajcarskich na terenie Rzeszy. Proces (w słowach prokuratora) ujawnił obecność prowokacji hitlerowców w stosunku do poważnych obywateli szwajcarskich, których usiłowano wciągnąć do sprawy Frankfurtera. Należy sądzić, że Niemcy miały podstawę do obawiania się różnych dociekań władz szwajcarskich dokoła działalności rozwiązanych organizacyj nazistycznych w Szwajcarii. (Nic dziwnego. Analogiczną sytuację mieliśmy przecie i u nas na Górnym Śląsku).

I oto w połowie rozprawy — nastąpił dość nagły, najwidoczniej pod naciskiem, zwrot w postawie prasy i opinii szwajcarskiej. Nagle, mniej więcej około 12 grudnia (proces rozpoczął się 9-go) prasa szwajcarska zaczęła, jak na dany sygnał, rozpisywać się o tym, że sprawa jest dla niej obca, że z zewnątrz usiłowano zrzucić na szwajcarskie społeczeństwo moralną odpowiedzialność za czyn Frankfurtera. Ta sama więc prasa, która znajdowała uprzednio w czynie Frankfurtera nawet analogię ze strzałem Wilhelma Tella, nagle zaczęła prześcigać się w wyrazach potępienia dla czynu, nie licującego z metodami demokracji. Prokurator znów, ten sam przenikliwy, trzeźwo widzący rzeczywistość, usiłował w końcu osłabić moment polityczny w czynie Frankfurtera i nawoływał do traktowania go jak przestępstwa kryminalnego. Wszystko to razem zrodziło wyrok inny niż we wspomnianych analogicznych wypadkach zabójstw politycznych.

Należy jednak podkreślić, że Szwajcaria wydaje się krajem zdecydowanie odpornym na zarazę hitleryzmu. „Hitlergrussowanie" na sali sądowej budziło w publiczności niesmak i protesty. Dr. Curti nazwał takie zachowywanie się w sądzie szwajcarskim „idiotyzmem i grubiaństwem". Niemieccy hitlerowscy dziennikarze byli tak izolowani na sali sądowej, że siedzieli zupełnie sami: wszyscy inni, angielscy, francuscy i t.d., oraz dziennikarze żydowscy siedzieli razem, a w ich szeregach również przedstawiciele niemieckiej prasy emigracyjnej. *Wyrazy potępienia dla ruchu antysemickiego w Rzeszy padły z ust nie tylko obrońcy, a również prokuratora i przewodniczącego sądu.*

Z Frankfurtera, raczej konserwatywnego, religijnego człowieka, tam w Szwajcarii hitlerowcom nie udało się zrobić komunisty, „żydo-bolszewika" i t. p. Szwajcarskie społeczeństwo i również sądownictwo szwajcarskie potrafiło ujrzeć czyn Frankfurtera we właściwym świetle.

Że zaś wyrok wypadł tak a nie inaczej, to już jest skutek gry dyplomatycznej, skutek dążenia do omijania tarć politycznych i właściwej wogóle Szwajcarom chęci pozostawania nieco „na uboczu" od niepokojących świat konfliktów.

Halina Krahelska



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

POMIĘDZY NAUKĄ I POLITYKĄ

Tak dziś liczne monografie ukazują czytelnikom właściwe oblicze coraz to nowych postaci historycznych. Ostatnio „odkryto" Krystynę szwedzką.

Doprawdy dziwić się należy, że ta osobliwa kobieta wywołała stosunkowo mało wrzawy w historii i w literaturze, skoro taka np. mała, pospolita samiczka, jak Maria Stuart, stała się bohaterką, w tylu romansach opiewaną. Maria Stuart, Maria Antonina, Katarzyna Wielka stały się interesujące dla potomności przez powieściowy posmak swoich losów. A któżby na bohaterke powieści obrał sobie kobietę, brzydką, jak małpa, lesbijkę, która czas swej młodości dzieliła sumiennie pomiędzy naukę i sprawy państwowe, a żadna tragiczna miłość nie wstrząsnęła jej życiem.

Książka Neumanna zbliża do nas tę niezwykłą postać.

Krystyna jakby sama wykuwała dzieje swego życia. Jej aktywny temperament i wola niezłomna pokonywały wszelkie trudności.

Swe dziwne i burzliwe koleje określiła najlepiej sama w jednej ze swych „Pensées", zresztą pozbawionych literackiej wartości: „Przez całe życie jest się dzieckiem, zawsze zmienia się tylko zabawy i lalki". „Dziecko Krystyna — pisze Neumann — bawiła się najpierw studiowaniem, potem filozofowaniem, potem rządzeniem, potem nawróceniem, potem intrygowaniem, a zawsze fantastycznym politykowaniem"

Trzeba przyznać, że umiała się bawić po mistrzowsku. Kiedy zabawa ma się udać, należy poświęcić się jej tyle, aby nas całkowicie zajęła, ale nie do tego stopnia, aby z samego siebie zrobić stawkę gry. Krystyna potrafiła zdumiewająco przestrzegać tej granicy. Przez całą młodość bawiła się w rządzenie, a styl jej zabawy pozwalał przypuszczać, że to właśnie pozostanie na zawsze treścią jej życia. Mając 12 lat w listach swych poruszała tylko sprawy polityczne, inne wydawały jej się nieważne Koronowana jako dziecko, skończywszy lat 17 została ogłoszona królową Szwecji i objęła rządy. Oddawała się swoim obowiązkom w stu procentach. Sypiała po pięć godzin na dobę, a dzień swój dzieliła uczciwie między naukę i rządzenie. Utrzymywała na swym dworze uczonych i o piątej rano wzywała ich do nieopalanej biblioteki na dyskusje naukowe lub filozoficzne. Dzięki swemu wykształceniu już we wczesnej młodości była sensacją Europy. Władała jedenastu językami, czytywała najobszerniejsze, najbardziej ścisłe i fachowe dzieła scholastyczne, antyscholastyczne i nawet matematyczne.

A przy tym rządziła z pełną odpowiedzialnością. Kochanków, którzy zaczynali ją zbyt zajmować, wysyłała na odległe placówki dyplomatyczne, żeby mieć zawsze jasną głowę i niczym niezwiązane ręce. Konsekwentna i niesłychanie przewidująca w swej polityce, nie pozwala sprzeciwiać się swej woli nawet najmożniejszym w państwie. Usuwa ich w cień powoli i dyplomatycznie, chytra, jak lis. Brzydka, niepozorna królowa miała jednak urok, o którym mówiła wówczas cała Europa. Przychodziła do parlamentu, usposobionego wrogo przeciw niej i po jednym przemówieniu zdobywała w nim rozentuzjazmowanych zwolenników.

Ale i ta — najbardziej udana z zabaw Krystyny, — znudziła ją. Potrzebowała swobody i odmiany. Abdykowała. Zapragnęła innego rozgłosu i zagrała nawrócenie na katolicyzm. W tej grze najmniej była przekonywująca — nie wierzyła w nią sama. Własne „nawrócenie" traktowała niepoważnie i z ironią. Wkrótce po ceremonii konwersji podczas mszy papieskiej z głośnym śmiechem rozmawiała z kardynałami.

Postać dziwnej, zastanawiającej Krystyny zlewa się harmonijnie z obrazem epoki, której była przedstawicielką. Z poza portretu zagadkowej królowej szwedzkiej wyłania się pełen sprzeczności wiek XVII-ty. Króluje jeszcze pompatyczny i zakłamany barok, ale zdala ukazuje się już sceptyczny, wyzwoleńczy duch XVIII stulecia.

Niespokojna Krystyna, przenosząca się z miejsca na miejsce, pozwala autorowi dać wszechstronny opis epoki. W przedstawieniu dworu szwedzkiego, francuskiego, czy środowiska Watykanu, Neumann nie gardzi najmniejszymi postaciami, które w życiu Krystyny odegrały nieważną napozór rolę. Ale dzięki temu otrzymujemy plastyczny obraz stulecia, który pozwala nam zrozumieć Krystynę. Żyjemy z nią w otoczeniu najróżniejszych kreatur ludzkich, przewijających się w „Theatro Christinae", wśród generałów, filozofów, papieży, królów i awanturników. Przeżywamy z nią najdumniejsze wzloty i haniebne przygnębiające kompromitacje. Mała, nerwowa królowa szwedzka staje nam się bliska.

To zbliżenie, a więc podstawowe zadanie powieści biograficznej, udało się Neumanowi doskonale.

W przekładzie p. M. Tarnowskiego wprawdzie zastosowana jest skrupulatnie nowa pisownia, ale za to roi się od germanizmów.

A. Spandowska

*) *Alfred Neumann:* „Krystyna królowa Szwecji". Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień", Warszawa, 1937.

ŚWIĄTYNIE KROPIWNICKIE*)

Debiut powieściowy Sydora Reya przedstawia się bardzo interesująco. „Kropiwniki", to powieść o małym miasteczku galicyjskim, o jego wzniesieniach i upadkach.

Część pierwsza powieści, znana już nam z wydawnictw zbiorowych zespołu „Przedmieście", jest historią niejakiego profesora Gelerta, z pochodzenia ubogiego Żyda kropiwnickiego, który, wykorzystując machinacje najciemniejszego obskurantyzmu żydowskiego, wyrywa się z miasteczka i wyjeżdża do Wiednia. Wyjeżdża z buntem w sercu, z silnym postanowieniem, że jego przyszła działalność będzie poświęcona wydźwignięciu biedoty małomiasteczkowej z ciemnoty i upodlenia.

W Wiedniu robi wielką karierę, żeni się bogato i... gruntownie zmienia światopogląd.

Dalszy ciąg powieści Reya poświęcony jest

*) *Sydor Rey.* „Kropiwniki" powieść. Warszawa, 1936 r. wyd. F. Hoesika.

„buntowniczym" duszom kropiwnickim, ludziom, którzy porywają się do czynu, aby włączyć nieszczęsne Kropiwniki w rytm zachodnio-europejskiego życia. Pierwszym etapem tych usiłowań musi być przeprowadzenie linii kolejowej przez Kropiwniki. „Buntownicy" piszą do miasteczkowej sławy, profesora Gelerta, prosząc go o poparcie na dworze cesarskim, ale Gelert nie pochwala jakoś tych planów. Pisze uprzejme listy, w których zaleca, aby w Kropiwnikach nie wprowadzać żadnych zmian, aby nie pozbawiać kropiwnickich nędzarzy „szczęśliwości", wynikającej z pokornego poddania się wyrokom władców ziemskich i boskich.

W myśl zaleceń Gelerta, każdy z projektodawców linii kolejowej stawia w Kropiwnikach... świątynię swego wyznania. Tak powstają: kościół, bóżnica i cerkiew. Jest jeszcze w Kropiwnikach prastara bóżnica i kaplica wystawiona na kształt chłopskiej chałupy przez ostatniego feodała Kopostyńskiego.

Autor „Kropiwnik" nie poszedł po linii najmniejszego oporu. Doskonały pomysł konstrukcyjny powieści polega na wyprowadzeniu przemian politycznych i ekonomicznych z dziejów poszczególnych świątyń kropiwnickich.

Niestety, jakoś to Reyowi „nie wyszło". Kompozycja całości ginie w powodzi drobnych szczegółków i (doskonałych zresztą) metafor. Większość bohaterów jego książki to postacie blade, papierowe i nieznośnie rezonujące.

Zarówno jednak dobre „skróty" literackie, jak i pewien rozmach tej powieści wskazują na to, że po autorze można się jeszcze spodziewać wielu ciekawych osiągnięć.

Bolesław Piach.

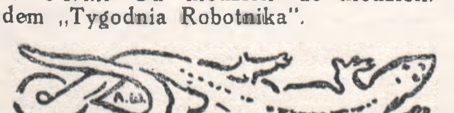
«OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI»

Na książkę Poor Yorika złożyło się sto króciutkich szkiców. W przeciągu trzech lat, jako felietony tygodniowe drukowane one były na łamach czasopisma robotniczego. W bezpretensjonalnej formie autor podawał i obrazował najważniejsze zdarzenia dnia. *)

Takie felietonowe ujmowanie rzeczywistości a zwłaszcza pokazywanie ludzi w ich karykaturalnej postaci wymaga bezspornie wyostrzonego zmysłu obserwacyjnego i szczególnych uzdolnień pisarskich.

Poor Yorik włada zręcznie i wprawnie ostrzem satyry: to błyśnie ciętym dowcipem, to wyśmieje heinowskim wzorem jakiegoś nadętego pelikana, to znów niespodzianie z gogolewskim zacięciem wyszydzi jakąś karierowiczowską kreaturę, pozującą na opatrznościowego męża, to wreszcie zagłuszy wrzącym śmiechem młodości jakieś dziwaczne pomysły lub zarządzenia z pod ciemnej gwiazdy. Naturalnym żywiołem Poor Yorika jest humor, którym jak woalem przesłonić nieraz usiłuje swoje oblicze wrażliwego i cierpiącego człowieka.

*) *Poor Yorik:* Od niedzieli do niedzieli. Warszawa 1936. Nakładem „Tygodnia Robotnika".



W TEATRZE

Dwa wybitnie ciekawe przedstawienia można teraz oglądać na scenach warszawskich teatrów. Nie porównywam ich zresztą ze sobą, bo pochodzą z innych epok, z innych rzeczywistości, inny poza tym mają ciężar artystyczny. Jedna z nich to sztuka klasyczna, nieśmiertelna i niezniszczalna; druga przeminie łatwo i pożegnamy ją bez żalu, ale spełnia inne zadanie prócz darzenia nas pięknem i mądrością — pozwala nam poznać jeden z odcinków współczesnego świata, przenosi nas żywcem do innego kraju i zapoznaje z nieznaną nam dotychczas, ale bardzo frapującą rzeczywistością. Dwie te sztuki: *„Wesele Figara"* i *„Księżyc w żółtej rzece"* obrazują w skrócie to, czego żądamy od współczesnego teatru: z jednej strony wielkiej Sztuki, z drugiej aktualności na dobrym poziomie, utrzymującej spójnię teatru z życiem; zbogacającej naszą wiedzę o świecie.

„Wesele Figara" zostało przyjęte z jednomyślnym zachwytem krytyki i publiczności. Oklaski co chwila rozbrzmiewały przy otwartej kurtynie. Ładunek myśli rewolucyjnej, który rozpiera tę sztukę, ma swoją pełną moc dotychczas. Jakże to? Przecież taiła się w nim ideologia Rewolucji Francuskiej, a postulaty tej rewolucji zostały spełnione. Istotnie, przez duży okres wieku XIX, kiedy łudzono się, że świat poszedł naprzód, „Wesele Figara" znajdowało o wiele mniejszy oddźwięk i zdawało się przez pewien czas, że sztuka ta będzie interesowała już tylko specjalistów, zwłaszcza, że jej fabuła, jej motywy, przeszły już do tysiąca innych komedyj. Ale historia się powtarza, a świat łatwo rezygnuje ze swych zdobyczy. Zrealizowawszy jakąś szczególnie przez ludzkość upragnioną myśl, nagle powiada veto i zaczyna znów od początku. Wyśmiane przez Figara przywileje zastąpiono innymi. Wolność słowa i myśli jest obecnie zagrożona więcej niż kiedykolwiek. To co powiada o polityce, o dyplomacji, nie utraciło nic ze swej aktualności. Ferment niezadowolenia, który daje ostry posmak tej komedii, jest w nas nie słabszy, niż w czasach Beaumarchais'go. Wszystkie te czynniki składają się na to, że sztuka wydaje dziś pełny dźwięk i nawet szeroka publiczność przyjmuje ją niemal jak utwór aktualny.

Jak to już podkreśliła z rzadką u nas jednomyślnością prasa, przedstawienie było prawdziwym sukcesem. Reżyseria p. Węgierki, który ma zawsze wysoki pietyzm w stosunku do tekstu, wydobyła właśnie ludzką i społeczną wartość utworu, zatracając wszystkie naleciałości operowe, które wytworzyły się dzięki operowej tradycji. Jego Figaro nie miał w sobie nic z błazna, zato wiele z mądrego i świadomego reprezentanta ludu. Ten sposób traktowania figury, ujęcie jej od strony niepospolitości, było szlachetne i miało dźwięk prawdy. Panie: Romanówna i Lindorfówna błysnęły całym swoim wdziękiem i urodą, i miały przyjemną intymną kobiecość. Przekład Boya jest sam w sobie poezją.

„Księżyc w żółtej rzece" spotkał się z dziwnym przyjęciem prasy. Po prostu prawie nikt go — nie zrozumiał. Bez fałszywego wstydu recenzenci chętnie się do tego przyznali. Jest to zjawisko tym dziwniejsze, że sztuka bynajmniej nie jest „hermetyczną", i nie zawiera w sobie żadnych zagadek, nie jest też „mo-

dernistyczna" w żadnym sensie, t. zn., że forma jej nie zawiera efektów, do których nasza wrażliwość jeszcze nie przywykła. Jest egzotyczna niewątpliwie i opisuje środowisko bardzo odrębne, rządzące się może innymi ideami i odruchami, niż nasze... Ale i tego nie można powiedzieć po dłuższym zastanowieniu się nad sztuką. Właśnie my Polacy posiadamy możliwości żeby zrozumieć ten utwór, bo nie mało jest analogij w naszych dziejach i w dziejach Irlandii.

Po odzyskaniu niepodległości i uniezależnieniu się od Anglii, Irlandia została jeszcze w stanie wrzenia. Chroniczna rewolucyjność nie uspakaja się tak szybko: staje się już nie kwestią ideologii, ale temperamentu. Tak jak zawodowy żołnierz po wojnie nie może sobie znaleźć miejsca i albo szuka sobie nowych pól walki, albo degeneruje w pospolitych burdach, tak nałogowy rewolucjonista, który bunt ma w żyłach i w tradycji rodziny, kiedy jego postulaty zostają zrealizowane, miota się w próżni i wykonywa wciąż te same gesty, choć jego uderzenia w nic już nie trafiają. Funkcjonować w tym sensie można tylko pod mocną dawką alkoholu, który sztucznie stwarza stan duszy jaki dawniej produkowało bohaterstwo i ofiarność. Potrzebna jest też znaczna doza histerii, bo człowiek zrównoważony, którego hamulce psychiczne są w porządku, ma poczucie rzeczywistości i potrafi się do niej zaadaptować. I oto z tego melanżu uczuć i stanów duszy mamy wyłonioną gromadkę degenerujących w próżni anarchistów, którzy aktami bezmyślnego teroru chcą utrzymać swoją rację istnienia i narkotyzujący ich przyjemnie tryb życia. Ich mętna ideologia (która jednak nie jest ani ideologią autora ani dowodem mętności sztuki) napozór jest błazeństwem i wywołuje mnóstwo efektów nieoczekiwanych i komicznych. Ale złe siły rozpętane przez tych dzieciaków i przez tych pijaków zachowują swoje trujące własności. Jeżeli nie przez świadomą organizację zamachu, to przynajmniej przez bezmyślność i przypadek elektrownia jednak zostanie wysadzona w powietrze.

Sztuka o nie nazbyt natarczywej symbolice, trzyma w nieustającym napięciu, efekty są wydobyte znakomicie, wejrzenie w tę odległą i obcą Irlandię pouczające i dające do myślenia. Dostajemy się do zupełnie innego kręgu zjawisk, wydarzeń i zagadnień, niż te, do których przywykliśmy i to stanowi właśnie o wartości sztuki, o tym, że słuchamy jej z napięciem. Ale ludzie widocznie nie lubią tego, do czego nie są przyzwyczajeni, tym się widocznie tłumaczy „niezrozumienie" wielu moich szanownych kolegów po fachu, bo nie rozumieć doprawdy nie ma czego, trzeba tylko pokonać pewne nałogi i konwencje, do których wdrożył nas teatr.

Reżyseria i wykonanie na wysokim poziomie, inteligentne, a przy takiej sztuce to rzecz nie łatwa.

Irena Krzywicka

F I L M

JAK WAM SIĘ PODOBA

Jak dramat szekspirowski zrewolucjonizował teatr, burząc klasyczną zasadę trzech jedności, tak film zrewolucjonizował Szekspira, zwyciężając przestrzeń w szerokich, nie znanych teatrowi granicach i pokonywując czas samą właściwością filmowego galopu nad czasem. Ale te dwa zwycięstwa musiały dokonać się w obrębie tekstu sztuki scenicznej i stąd nieubłaganie prowadziły do syntezy teatralno-filmowej, w której zaprzepaścić się musiało wiele walorów sztuki filmowej.

Sfilmowano dotychczas pięć sztuk szekspirowskich: „Kupca Weneckiego", „Poskromienie Złośnicy", „Sen nocy letniej", „Romea i Julię" i „Jak się wam podoba?".

„Kupiec Wenecki", jako film niemy, nie miał zbyt szerokich możliwości realizacji teatralnego dialogu, bez przeciążania filmu napisami. Nie mógł również przeprowadzić na szeroką skalę momentów ruchowych, któreby rozsadziły sztukę Szekspira. Dlatego „Kupiec Wenecki" wyszedł blado, przez brak wyraźnego uwypuklenia momentów filmowych i przez nieuniknione stuszowanie efektów scenicznych.

„Poskromienie Złośnicy" potraktowano zupełnie inaczej, nie licząc się wiele z tekstem szekspirowskim, a wysuwając na pierwszy plan ruch i grę ruchową Douglasa Fairbanks'a.

Za to *„Sen nocy letniej"* w reżyserii Reinhardta, typowy „talkie", przeprowadził współdziałanie dialogu ze stroną wzrokową, starając się o specjalne uwypuklenie gry światła i ruchu. Po tej linii poszła również realizacja *„Romea i Julii"*, uzupełniając sztukę momentami dodatkowymi, które jej przydały ruchu i filmowości.

„Jak wam się podoba" jest komedią specjalnie mało fotogeniczną i może dlatego sprawia wrażenie, jakby scenarzysta i reżyser chcieli zaprzeczyć całemu dorobkowi i całemu doświadczeniu, jakie dotychczas zdobyto na polu filmowej transpozycji sztuk szekspirowskich. Niewątpliwie jednak można było „Jak wam się podoba" poważnie ożywić ruchem filmowym, wypełniając nim choćby tylko przerwy, jakie istnieją w sztuce Szekspira między aktami i nawet poszczególnymi scenami, można i trzeba było wykorzystać momenty świetlne. Zamiast tego wykonano „Jak wam się podoba" na tle nie wiele mówiących teatralnych dekoracyj, trzymając się za to kurczowo teatralnego tekstu. Stąd dziecinnie rwana, filmowo nie przekonywująca akcja, która miejscami wręcz denerwuje. Brak filmowych przejść i racjonalnych skrótów — brak zrozumienia filmowej metody. Dodano dwa tylko momenty, które mają coś wspólnego z dziesiątą muzą. Jeden — to „kamea" łabędzia na początku filmu i zdjęcie stada owiec w ruchu. Reszta może iść na scenę, a jeżeli jej tam nie wpuszczą — to nawet do wszystkich diabłów.

Czinnera stać było na coś lepszego, *Elżbieta Bergner*, jedna z najlepszych tragiczek ekranu tak się nadawała do roli Rozaliny, jak gmach Chryslera na budkę z wodą sodową.

Mochnacki w artykule o „Makbecie" z r. 1829 pisał, że „dzieł Szekspira samowolnie poprawiać

i przekształcać nie godzi się". I słowa te są po dziś dzień słuszne, jeżeli chodzi o teatr. W filmie pewne zmiany nie niweczą założeń sztuki, są konieczne i obowiązujące, jeżeli pozwalają na przystosowanie go do warunków ekranowych.

Kaz. L.

JANOSIK

Tak długo producenci polscy zapowiadali realizację „Janosika", aż film ten wykonali Czesi. I niewątpliwie film czeski zapędził by w kozi róg każdy podobny „wyczyn" rodzimej filmii.

„Janosik" w reżyserii Frica, pomimo usilnych starań cenzury, aby wartość tego filmu pomniejszyć, „wyszedł" bardzo dobrze. Na realizatorów tego filmu czyhały groźne niebezpieczeństwa. Można było rozpłynąć się w pejzażach tatrzańskich, albo w niedrogim sentymentaliźmie utopić społeczny sens legendy o Janosiku. Scenarzysta „Janosika" jednak miał zbyt wiele kultury, aby sprowadzić swój film na manowce niefilmowości i szeroko wykorzystał zastosowanie filmu, jako *sztuki społecznej*.

Społeczny sens „zbójnictwa", jako reakcji ludu na ucisk i samowolę panów, jest tu myślą przewodnią, ogniskiem, w okół którego zgrupowano wszystkie wydarzenia, składające się na akcję filmu.

Janosik ze sztuki czeskiej, chociaż, jak to wyraźnie podkreślono, nie jest Janosikiem, z polskich legend, ma jednak wiele wspólnych cech z polskim zbójnikiem tatrzańskim. Może pochodzi to z podobieństwa walki i losów tych, którzy „uciekali w góry".

Przewinęły się przez ekran sceny krzywdy i upokorzenia, sceny buntu i zemsty. „Janosik" zasługuje na uwagę również ze względu na niezwykle filmowy sposób wykonania. Jest pełen *ruchu*, tak, że chwilami przypomina filmy z Douglasem Fairbanksem; wystarczy przypomnieć sobie „Robin Hood'a" i „Znak Zorry". Reżyser w niektórych scenach wzorował się wyraźnie na tych filmach. Np. ucieczka z karczmy w czasie jarmarku, albo ostrzeżenie — rzucenie ciupagi z kartką. W „Znaku Zorry" ostrzegano sztyletem.

Doskonałe są sceny walk z pandurami. Całość skonstruowana niezwykle dobrze. Akcja przykuwa uwagę widza, prowadząc konsekwentnie do rozwiązania.

„Janosik" jest przykładem dla polskich reżyserów i scenarzystów. Tu dostrzegą, jak na dłoni, jaka jest różnica między *filmem*, a „Papą, który się żeni" i „Panią minister, która tańczy"...

Kaz. L.

Z A R O B E K

Wieś spała. Dochodziła godzina 11-ta w nocy. Stary Grzela z trudem wygrzebał się z posłania i powlókł się do szopy raz jeszcze dosypać „siwej" sieczki do żłobu. Nad ranem trzeba będzie zaprząc kobyłę do fury i pędzić na mrozisku 26 kilometrów do miasta ze zbożem. Myśli gospodarza ciemne, jak ta mroźna, bezksiężycowa noc i ostra jak ten wicher wyjący w skostniałych gałęziach sadu na około chałupy — opadły siwą, skołataną głowę Grzeli. Wrócił z szopy, wlazł na wyrko, otulił się, jak mógł, najszczelniej stertą łachmanów, zastępujących mu pierzynę, mocno przywarł powieki. Ale sen nie przychodził. Ani gdy leżał na lewym, ani — na prawym boku, ani gdy zziębnięte plecy przycisnął do garści startej na sieczkę słomy pod płachtą. Nijak zasnąć nie mógł.

— W Płońsku za metr żyta płacą 13 złotych, w Wyszogrodzie 13 i pół — rozważał po cichu. — Na dwa metry złoty więcej w Wyszogrodzie. Wziąłbym 27 złotych. Z tego podatek 24 z groszami, reszta na sól, naftę i choć zuchelek omasty, coby się człek od bydlaka choć raz na kwartał przy karnawale odróżnił.. Cięgiem jeno z samą solą, jak nie przymierzając świnia. W drugim tygodniu może się obliczę i z garść pszenicy powiezę na targ. Dzieciskom by się wtedy buty poratowało, bo już zewsiem z goleni im lecą i nie pchnąć się człekowi żadnym w robocie za chałupą choćby nawet wedle oprzętu, bo bose, jak psiska... To byłoby po 13 i pół w Wyszogrodzie. Czy jeno Judka prawdę gadał? Żeby tylko nie popróżnicy gnaty trzęść i szkapę mordować w tyli świat... Ba, zawdy do Płońska tylko siedem kilometrów, to i mrozisko nie dałoby się tak we znaki, a do Wisły 26... Na dwuch metrach złoty... Cały dzień jazdy, ale gdzie dziś tyla dniówki płacą: złoty na dzień... Tak już wola Boska, machnę do Wyszogroda...

Jeszcze dobrze ciemno było, gdy stary Grzela załadował na wóz dwa metry żyta i schowawszy za pazuchę kromkę chleba wyjechał na wtorkowy targ. Śnieg sypał gęsto; mróz szczypał nieznośnie w twarz, w uszy, w ręce; wiatr odprawiał szaleńcze tany na białych polach i drogach, wznosząc tumany sypkiego, jak kryształ ziarnistego, lodowatego śniegu.

— Chyba się gdzie baba obwiesiła — pomyslał chłop. — A to dopiro hula wietrznica. A!... — strzepnął zgrabiałymi rękami — lejce utrzymać trudno. A to mróz pikuje...

Już był kawałek za Kobylnikami, z 16 kilometrów od swojej chałupy, gdy zaczęło szarzeć na dzień. Do Wyszogrodu jeszcze kawał drogi, z dziesięć kilometrów. Chude szkapisko już ledwo szło, buchając kłębami pary i ruszając z wysiłkiem oszroniałym łbem.

Grzela zlazł z fury. Dobrze będzie ulecić z wiorst parę, to i konisko odzipnie nieco i nożyska choć trochę się rozgrzeją.

— Czy aby nie po próżnicy — biegnąc koło fury i trzepiąc nogami, myśli Grzela. — Obaczymy. Już tera przecie nie zawrócę.

Zajechał przed pierwszy z brzegu „Wyszogrodzki Skład Zboża". W wielkim podwórzu stało już parę furmanek. Z głębi długiego, parterowego budynku, gdzie przyjmowano od gospodarzy zboże do wagi słychać było głosy: podniesione — jakiegoś chłopa i przekonywający, ale łagodny, niski — kupca Żuchwy.

— To niech gospodarz zaczeka do południa — tłumaczył Żuchwa. — Ja przecież żyta z rąk wam nie wyrywam. W Płońsku dziś idzie na 12,50. Wyszogród płaci na całe 13, bo taniej fracht wodą kosztuje, niż koleją. O jej! O jedenastej już można się dowiedzieć w magistracie, jak płaci Płońsk i Sochaczewo. Ja dokładać nie mogę. Uczciwie płacę.

Grzelak splunął siarczyście. — Masz i wyrachunek człecze — szepnął do siebie. — Wleczesz się ze szkapskiem tyli świat drogi, rachujesz, jak jaki nauczyciel na lekcji, aż w końcu wszystko w łeb bierze... A, no jak Płońsk i dziś tani daje, to choć tyla tego.. — uspakajał sam siebie Grzela. — E, Boże, Boże! nawet na rozgrzanie gęby nie starczy. Cały dzień o suchym pysku przyjdzie wlec się po tym mrozie. Ale poczekam, może tak trochę z południa podniosą...

I czekał. Otulił „siwą" strzępami szmaciaka, zwolnił trochę z zaprzęgu, przywiązał worek z sieczką do łba, by podjadła, sam wlazł w słomę między worki zboża, wyjął z pod pazuchy kawałek razowca i tępo patrząc w głąb podwórza mełł zlodowaciałymi szczękami to swoje śniadanie.

Podwórze zwolna wypełniało się furmankami. Tu i tam kłócono się; przed drzwiami składu coraz częściej słychać było klątwy, złorzeczenia, narzekania, wrzaski. Nikt jednak nie ściągał worków z woza. Czekano południa, a z nim wieści z magistratu: gdzie i jak płacą.

Tymczasem kilka dwukonnych, wielkich, dworskich furmanek naładowanych szpiczasto ogromnymi worami zboża zajechało przed skład. Z sanek, zaprzężonych w dwa kare, ładne konie, otulony w grube kolorowe pledy i kilimy, tęgi, o szerokiej, pełnej, zaczerwienionej od mrozu twarzy — pan krzyknął w stronę otwartych drzwi składu: — Panie kupiec do rachunku! Mróz, a żywo, bo mi kare zmarzną!

Natychmiast zjawił się Żuchwa z notesem w ręku, nisko skłonił się panu i zwróciwszy się do swego pomocnika stojącego na progu wydał polecenie szybkiego załatwienia wagi pańskich fur. Nie upłynęło pół godziny, gdy piękne kare uniosły sanki z panem przez ustępujący tłum i dziewięć próżnych dworskich furmanek wytoczyło się z podwórza na wyszogrodzką szosę.

Przykład tej szybkiej sprzedaży nie podziałał jednak na szybką decyzję chłopów. Szepcąc między sobą, spluwając i tupiąc dla rozgrzewki wałęsali się od woza do woza czekając południa.

— Jak się ma wielkie rachunki ze składem — pomyślał Grzela — to i za tydzień nawet różnica nie przepadnie. Nie dopłacą mu dziś, to przy drugim razie wyrównają. Przepłacą — to pan zboża dołoży i kwita. Ale my?... Trza poczekać...

Już gęsty mrok zapadał, gdy próżna grzelowa furmanka turkotała po wyboistej szosie w powrotnej drodze do chaty. Stary Grzela popędzał „siwą" i gadał do siebie: — Alem się i doczekał... W Płońsku dawali 12 i 75 groszy; Sochaczewo... a pal je ciort, jeszcze od Wyszogrodu prawie 30 kilometrów. Ba... ale tam dobrze. Płacili dziś po całe 14. Wyszogród dał 13 i 75. Nawet-em sie nie spodziewał. Mam całe dwa złote zarobku na tym Wyszogrodzie. Warto było jechać. Prawda to święta, że co nagle to po diable. Gdybym tak zara zrana samego sprzedał, to dostałbym jeno po 13, a tak 27 i pół złotego jest. A to sie baba ucieszy... Wio-o „siwucha"!

Za Kobylnikami szkapa zwolniła biegu. Już i bat nie pomagał. Dziesięć kilometrów truchtem to i tak jak na czternastolatkę duży wysiłek. A i Grzela zmęczony dość długim biegiem dla rozgrzewki nie miał już ochoty do „prostowania" zmarzniętych nóg po szosie. A mróz brał na noc coraz większy. Wicher gwizdał po polach i rowach, ale choć silny — już nie mógł wznosić tumanów śniegu. Mróz ściął grubą białą pierzynę i przybił mocno do ziemi. Siarczysty mróz wpił się w zmęczone, przemarznięte ciało jak zła chłopska dola, z którą dać sobie rady nie tak łatwo. Nie pomagało już ani obijanie boków skostniałymi rękami, ani chuchanie za gruby pasek zgrzebnej koszuli koło szyi. Ziąb kłójący przejął Grzelę nawskroś, wparł się w niego całą mocą i ani rusz ustąpić nie chciał. Aż wreszcie znieczulił, obezwładnił chłopa.

— Do chałupy jeszcze z sześć kilometrów — myśli sennie chłop. — Zdrzymne sie troche. Szkapa trafi i sama. Wio-o siwa!

***

Grzela na chwilę przytomnie otworzył oczy. Wykręcona do niego plecami kobieta pociągając nosem tłumaczyła zebranym w izbie ludziom:

— Ledwie-śmy go roztarli, odratowali. Dobrze, że „siwka" nie zabłądziła. Był już prawie jak trup, taki sztywny... A tera gada coś w malignie, rzuca się, a rozpalony jak węgiel. I tyla mi zarobił. Tera na doktora więcy będzie potrza niż ten cały zarobek w Wyszogrodzie. Oj, psia moja dola! A podatku bidak nie zapłaci jak przyjdzie leki kupować i po doktorach jeździć. Żeby choć Pan Bóg śmierci nie namienił!...

— Każden by chciał jak najlepiej, moja Grzelowo — odezwał się gruby głos z kąta izby. — A i naprawdę wczoraj Płońsk marnie płacił żyto, słyszałem. Ja mu sie tam wcale nie dziwuje. Chciał zarobić...

—Dobrzem sprzedał... A gdzie dziś dadzą dwa złote dniówki... Dobrzem sprze... — tracąc przytomność szeptał Grzela.

Czesława Kamińska

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PRECZ Z INTELEKTEM!

Wykłady na uniwersytecie w Salamance rozpoczęły się dn. 1 października 1936 roku przemową inauguracyjną profesora literatury, Madonada. Przeciwstawił on Hiszpanię, reprezentowaną przez generała Franco, „anty- Hiszpanii, reprezentowanej przez Front Ludowy. Profesor Madonado zaatakował ponadto Basków i Katalończyków za ich żądanie autonomii.

Mowa przerwana została nagle wystąpieniem przewodniczącego inauguracyjnej uroczystości: zmarłego niedawno Miguela de Unamuno.

— Padły tu słowa o Hiszpanii i anty-Hiszpanii. Z najgłębszym przekonaniem oświadczam, że z obu stron znajdują się patrioci i anty-patrioci. Czuję się zaatakowany, jako Bask, a biskup Salamanki obok mnie siedzący jest Katalończykiem. Obaj jesteśmy Hiszpanami tak samo, jak pan. Mówi się, że po stronie czerwonych kobiety walczą na froncie. Z tej strony

kobiety nie uczestniczą w walce. Wystrojone w odznaki i medale, asystują przy rozstrzeliwaniu i egzekucjach.

W tym momencie powstał nieopisany tumult. Jeden z wodzów rebelii, generał Astray, zwany „hiszpańskim Goebbelsem", wstał i krzyknął:

— Śmierć inteligencji!

Bluźnierczy okrzyk w murach uniwersytetu Salamanki wywołał sensację i poruszenie. Profesor Bermejo zaprotestował:

— Jesteśmy tu w świątyni inteligencji!

Obecna na uroczystości żona generała Franco zemdlała. Poeta rojalistyczny Peman, zawołał:

— Nie, nie mówimy — śmierć inteligencji, lecz; śmierć złym intelektualistom!

Uroczystość inauguracji została przerwana. Tego samego dnia Unamuno złożony został ze swego stanowiska dożywotnego rektora uniwersytetu w Salamance. Miejsce jego zajął ultralojalny profesor Madruga.

W takich okolicznościach popadł Miguel de Unamuno w niełaskę.

Tegoż dnia udał się Unamuno swym utartym zwyczajem do miejscowego klubu, którego był jednym z założycieli. Powitały go gwizdy. Dowiedział się, że został pozbawiony praw członka i wyrzucony z klubu.

Od tej chwili junta rebeliancka roztoczyła troskliwą i czujną opiekę nad Unamuno. Dodano mu do towarzystwa agenta policyjnego, który nie odstępował go ani na krok i otrzymał rozkaz strzelania, gdyby Unamuno postawił tylko nogę na stopniu samochodu.

Na kilka dni przed śmiercią Unamuno odbył dwugodzinną rozmowę z pewnym Francuzem, któremu udało się zmylić czujność policji. Oto słowa Miguela de Unamuno, zasługujące na miano spowiedzi przedśmiertnej:

— Jestem do głębi wstrząśnięty gwałtami, sadyzmem, niepojętym okrucieństwem wojny domowej, oglądanej od strony nacjonalistów. Otrzymałem niedawno list z frontu, od młodego, znanego rzeźbiarza baskijskiego. List oskarżający „czerwonych" o gwałcenie zakonnic, wyłupywanie oczu dzieciom itd. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że list podyktowała wojskowa cenzura. Odpowiedziałem: „Wiem, że pański list napisany został pod dyktando i odpowiadam tylko dlatego, by cenzorzy nie uważali mnie za wywiedzionego w pole i okpionego. Zresztą wszystkie bezeceństwa, o których pan opowiada, jako popełnione przez „czerwonych" (w co zupełnie nie wierzę) — są niczem wobec okrucieństw, sadyzmu, systematycznej i zorganizowanej podłości, której jesteśmy świadkami, gdy rozstrzeliwują najuczciwszych i niewinnych ludzi tylko dlatego, że ich przekonania są postępowe.

Niech pan zważy, że nie chodzi tu o odosobnione wypadki lub samowolę, lecz o masowe rozkazy sztabu głównego, który nazywa siebie narodowym. Wszystkim tym zbrodniom patronuje okrzyk obłąkańca, generała Milana Astraya: „Śmierć inteligencji i niech żyje śmierć"!

„Kobiety są gorsze od mężczyzn. Te dziewczyny i kobiety, stare panny i dewotki przede wszystkim, których życie upłynęło w panieństwie, szukają w krwawych widowiskach egzekucyj dreszczy, których nigdy nie odczuły!

„Czego ci ludzie nienawidzą nade wszystko — to inteligencji! Są najzacieklejszymi wrogami wszystkiego, co reprezentuje w świecie intelekt, który staje do walki z brutalną i ślepą siłą zniszczenia i gwałtu"!

FEUDALIZM BANKOWY.

Zrzeszeni pracownicy bankowi czynią przygotowania do walki o umowę zbiorową, której zawrzeć nie chce Związek Banków w Polsce.

W deklaracji p. t. „Mobilizacja" umieszczonej w „Pracowniku Bankowym" czytamy:

„Przez długie lata pracownicy bankowi, zdani na łaskę poszczególnych dyrekcji, ponosili cały ciężar złej koniunktury gospodarczej i nieudolnej polityki finansowej wielu dyrektorów. Wyrzucano bez skrupułów długoletnich pracowników, aby na ich miejsce przyjąć wygłodzonych bezrobotnych za wynagrodzeniem mniejszym od tego, jakie pobiera chłopiec na posyłki. (Dowody złożymy w Min. Op. Społ.).

A w tym samym czasie przyjmowano nowych dyrektorów, którzy mieli sprowadzić falangę nowych klientów, lecz ich nie sprowadzili. Płacono im tysiące, „zaoszczędzone" na wyrzuconych pracownikach i doprowadzono wreszcie do takich paradoksów, że kilku dyrektorów i siły kierownicze pobierają w sumie większe wynagrodzenie, aniżeli cały personel wykonawczy danego banku.

Dyrekcje znają tylko cyfry, zajrzyjmy więc do naszych statystyk, a przekonamy się, że w jednym z banków poznańskich jest tylko... 9 dyrektorów, których pensje, łącznie z pensjami kierowników wynoszą sumę zł. 42.300, a pensje reszty 118 urzędników wynoszą zaledwie sumę zł. 40.500. Duży bank warszawski ma tylko 7 dyrektorów, których pensje wynoszą zł. 26.800. Inny bank warszawski ma nawet 10 dyrektorów, którzy łącznie z kierownikami pobierają pensje zł. 30.800, a 140 urzędników tegoż banku pobiera zł. 39.800.

Posiadamy ścisły materiał, imienne wykazy płac banków w całej Polsce i w odpowiedniej chwili gotowi jesteśmy udowodnić czynnikom miarodajnym, że kosztem nędzy wyrzuconych pracowników nastąpił przerost dyrektorów w wielu instytucjach bankowych. Dodajmy do tego, że dyrektorzy banków mają wieloletnie kontrakty, gwarantujące im wysokie odszkodowania w razie przedwczesnego zwolnienia (po 100.000 i 200.000 zł.), a zobaczymy, jak w tym świetle wygląda zwykły pracownik bankowy i jak musi być wyciśnięty z sił, aby zarobił nie nędzne grosze na swoją pensję, lecz aby mógł zarobić na wielotysięczne pensje swoich dyrektorów".

OPINIA WIELKIEGO PISARZA.

Dziekan uniwersytetu w Bonn zawiadomił znakomitego pisarza Tomasza Manna, przebywającego ne emigracji, że został on skreślony z listy honorowych doktorów tego uniwersytetu.

Nie mogąc inaczej na skutek wielkiego dystansu moralnego dosięgnąć dumnego pisarza, hitlerowcy z sykiem rozdrażnionej żmii rzucają się teraz choćby na ślad zasług i wyróżnień swego wybitnego przeciwnika.

Odpowiadając na ten akt zemsty, Tomasz Mann, taką wyraża opinię o dzisiejszych władcach Niemiec:

„Dokąd zaprowadzili oni Niemcy w niespełna cztery lata? Zrujnowane, duchowo i fizycznie wyssane przez zbrojenia wojenne, którymi zagrażają całemu światu, cały świat hamują i przeszkadzają mu w spełnieniu jego właściwych zadań, olbrzymich i pilnych zadań pokojowych; nie lubiane przez nikogo, obserwowane z lękiem i zimną niechęcią przez wszystkich, stoją Niemcy na krawędzi katastrofy gospodarczej".

„Biada narodowi, który, nie znajdując wyjścia, szukałby go w znienawidzonym przez Boga i ludzi okrucieństwie wojny! Ten naród byłby zgubiony. Zostałby tak pobity, że już by się nigdy dźwignąć nie potrafił".

PROGRAMOWY WIERSZ

Niemiecką prasę obiega coraz bardziej popularny wierszyk:

„Hinaus mit diesem Wort, dem bösen mit seinem jüdisch grellen Schein. Nie kan ein Mann von deustchem Wesen ein Intellektueller sein!" („Precz z tym złym słowem, z jego żydowsko jaskrawym blaskiem! Nigdy mężczyzna przepojony niemieckością nie może być intelektualistą!").

„KRONIKA RUCHU REWOLUCYJNEGO W POLSCE"

Nowy n-r (3-4) „Kroniki ruchu rew." zamyka już drugi rocznik wydawnictwa historycznego, poświęconego dziejom walk o niepodległość i socjalizm, wydawanego pod redakcją Adama Próchnika i Jana Krzesławskiego. W siedmiu, dotychczas wydanych, n-rach kwartalnika zawarta jest bogata treść. Wystarczy wskazać szereg cennych wspomnień dawnych uczestników ruchu socjalistycznego, jak np.: L. Śledzińskiego, Witolda Trzcińskiego, Jana Durki, Antoniego Zelcera, Hieronima Truszkowskiego.

Najnowszy zeszyt „Kroniki" m. in. zawiera artykuł A. Próchnika p. t. „Budowa i odsłonięcie pomnika A. Mickiewicza w Warszawie" skreślony na podstawie źródeł archiwalnych, ciekawy oparty również na źródłach archiwalnych artykuł J. Krzesławskiego, w którym autor omawia „Wiece Andrzeja Niemojewskiego w oświetleniu ochrany" w dobie początków rewolucji 1905 roku. Jeden z dawnych uczestników ruchu socjalistycznego W. Trzciński w swym artykule „Czerwona Łódź" omawia stan organizacji łódzkiej P. P. S. w latach 1906 i 1907. Piotr Jagodziński w swym „Skrawku wspomnień" opisuje swe aresztowanie za udział w pracach bojowej organizacji w końcu 1906 roku. Ludwik Śledziński kreśli swe „Wspomnienia z Łodzi (1899—1901)". M. Wajner w swym wspomnieniu „30 lat temu" opisuje IV konferencję P. P. S. w Wilnie w czerwcu 1906 roku, odbytą w czasie pogromu żydowskiego w Białymstoku i na której „upoważniono wszystkich delegatów aby zorganizowali chrześcijańsko-żydowskie samoobrony w swoich ośrodkach".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Karol Grycz - Śmiłowski: Religia a życie seksualne. Kraków. Odbitka z kwartalnika „Wolna Myśl Religijna".

Juliusz Górecki: Rzym a Polska w twórczości Słowackiego. Z przedmową Pawła Hulki-Laskowskiego. Warszawa 1936.

Praca zbiorowa pod redakcją Jana Deca i Franciszka Mleczki: Młodociani na wsi. Nakładem „Naszej Księgarni". Warszawa 1937 r.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie prenumeraty za kwartał bieżący

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 3448 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.